

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 17 marca 1917.** **Nr. 11.**

Niebezpieczna wyprawa.



Żołnierze austryaccy podchodzą pod rosyjskie pozycye.

Treść numeru: Wystawa prac inwalidów wojennych w Krakowie. — Z pola walki. — Bohaterska walka polskiego lotnika. — Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie. — 250 koncertów w Krakowie i t. d.

Niebezpieczna wyprawa.

(Do illustracyi tytułowej).

Jedną z najważniejszych przeszkód, utrudniających nieprzyjacielowi niespodziewany atak na pozycye przeciwnej strony, są gęste zasieki z drutów kolczastych, rozpiętych na silnie w ziemię wbitych słupach. Między nimi znajdują się często tak zwane wilcze doły, to jest głębokie lejki, z umieszczonym na dnie ostro zakończonym palikiem i miny, niewidoczne dla oka ludzkiego. Ponadto przepuszcza się przez druty silny prąd elektryczny, który uniemożliwia przedarcie się ku rowom strzeleckim.

Przed atakiem wysyła się ku zasiekom drucianym liczne patrole, które mają za zadanie usunąć przeszkody, co zawsze połączone jest z ogromnem niebezpieczeństwem, gdy bowiem jedna część żołnierzy przecina druty specyalnemi nożycami, druga musi być przygotowaną na odparcie wroga.



Wystawa prac inwalidów wojennych w Krakowie: Fragment wystawy z wyrobami koszykarskiemi. (Fot. inż. Bromowicz).

Wystawa prac inwalidów wojennych w Krakowie.

Wspaniały wynik działalności Krakowskiej Szkoły inwalidów wojennych, o której już kilkakrotnie pisaliśmy, doskonale zobrazowała wystawa, urządzona w Muzeum techniczno przemysłowem przy ulicy Smoleńsk. W uroczystości otwarcia tej wystawy wzięli udział wszyscy członkowie komitetu wykonawczego krajowej Komisyi opieki nad inwalidami z księciem biskupem Sapiehą i radcą dworu B ü knerem na czele, komendant twierdzy krakowskiej, marszałek polny porucznik Guseck von Glankirchen, zastępca kom. wojsk. gen. Ostermuth generał lekarz dr. Pewny, naczelny lekarz południowej armii niemieckiej profesor dr. Stubenrauch wiceprezydenci miasta J. K. Federowicz i Rolle z licznem gronem radców miejskich, wiceprezydenci namiestnictwa St. Grodzicki i Adam Fedorowicz, radca dworu Okęcki imieniem Rady Szkolnej krajowej, pułkownik hr. Lamezan, Antoni hr. Wodzicki, prezes galicyjskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża Paweł ks. Sapieha, Ignacy Dembowski i szereg zaproszonych gości. Zjawili się także w komplecie wszyscy oficerowie i lekarze z krakowskiej szkoły inwalidów z pułkownikiem Glassnerem, komendantem szkoły i profesorem drem Kaderem, nadto inwalidzi-oficerowie i inwalidzi-żołnierze.

Zebrani goście oczekiwali we „foyer" Muzeum przybycia arcyksięcia Karola Stefana, który miał dokonać otwarcia wystawy. O godzinie 10-tej przed południem punktualnie przybył arcyksiążę samochodem w towarzystwie adjutanta. W bramie gmachu Muzeum przedstawili się arcyksięciu: komendant szkoły pułkownik Glassner, komendant oddziału przemysłowego porucznik Piotrowski i lekarz dr. Weissglas. — Arcyksiążę przywitał się następnie i rozmawiał z komendantem twierdzy, generałem Guseck von Glankirchen, wiceprezydentem St. Grodzickim, generałem Ostermuthem i innymi wyższymi oficerami, poczem udał się na pierwsze piętro celem otwarcia wystawy. — Muzyka inwalidów odegrała hymn państwowy. Przybyli dygnitarze zatrzymali się w pierwszej, pięknie udekorowanej portretem cesarskim i kwiatami sali.

Pierwszy zabrał głos książę biskup Sapieha i podziękował serdecznie arcyksięciu Karolowi Stefanowi za przybycie, poczem zaznaczył, że społeczeństwo nasze nie tylko leczy rany żołnierzy, które odnieśli w obronie ojczyzny, ale także w miarę środków stara się zapewnić im później możność pracy i opiekę moralną. Wystawa jest rezultatem wysiłków w sprawie naszej opieki nad inwalidami. W pracy tej gorliwy udział wzięła krakowska komenda twierdzy. Książę-biskup apelował o dalszą pomoc w tej akcyi, oraz prosił arcyksięcia Karola Stefana o otwarcie wystawy.



Wystawa prac inwalidów wojennych w Krakowie: Uroczystość otwarcia wystawy. (X) Arcyksiążę Karol Stefan. (XX) Książę-biskup Sapieha. (XXX) Komendant twierdzy krakowskiej marszałek polny porucznik Guseck von Glankirchen. (Fot. inż. Bromowicz za pozwoleniem komendy twierdzy).

Arcyksiążę Karol Stefan przemówił również po polsku następującemi słowy:

„Na zaproszenie Waszej książęco biskupiej Mości przybyłem z największą radością do Krakowa, celem otwarcia tej wystawy. Mam zaszczyt donieść, że Najjaśniejszy Pan, dowiedziawszy się o tym moim zamiarze, kazał mi najłaskawiej wszystkim, którzy tak żywo i bezustannie biorą udział w sprawie opieki nad naszymi inwalidami, wyrazić Jego najwyższe uznanie i równocześnie przesyła przezemnie wszystkim obecnym Jego cesarskie pozdrowienie. Uznaję wystawę za otwartą".



Zgon zasłużonej wychowawczyni: Założycielka i kierowniczka prywatnego seminaryum nauczycielskiego żeńskiego ś. p. Sebalda Miunichowa



Z pola walki: Jenerał pułkownik Böhm Ermolli wraz ze swym sztabem obserwuje przebieg bitwy na froncie rosyjskim.

Po otwarciu goście udali się na zwiedzenie wystawy. Arcyksięcia oprowadzał inżynier Tor, który też udzielał wszystkich wyjaśnień. Na sali znaleźli się także oficerowie-inwalidzi Polacy, z którymi arcyksiążę bardzo serdecznie rozmawiał i o ich los wypytywał.

Wystawa oddziału przemysłowego, z którego podajemy zdjęcia, w kilku pięknie ozdobionych salach umieszczona, przedstawia się nadzwyczaj bogato i wartościowo. Na wstępie zwracają uwagę przedewszystkiem wyroby z zakresu ślusarstwa i stolarstwa budowlanego. Dalej widzimy w wielkiej sali niezwykle artystycznie wykonane najrozmaitsze roboty ślusarskie. W dalszym ciągu widać przepiękne wyroby oddziału cyzelerskiego, gdzie obok przeróżnych naczyń, kubków, popielniczek, znajdują się przedmioty, wymagające już rutyny cyzelerskiej, jak aparaty kościelne, kielich, kadzielnica, lampy, Matka Boska Ostrobramska i t. p. Te wszystkie przedmioty są bogato zdobione.

Większą przestrzeń na wystawie zajmuje oddział drzewny, gdzie pomieszczono przedewszystkiem wyroby tokarskie i rzeźby, w tem trzy charakterystyczne typy rzeźby, mianowicie zakopiańskiej (kredens), huculskiej (skrzynia) i rumuńskiej (krzyż), dalej ulokowano wyroby stolarskie białe, następnie politu-



Wystawa prac inwalidów wojennych w Krakowie: Ogólny widok oddziału przemysłowego.

rowane, jak szafki, stoły i inne. Obok stolarstwa bardzo bogato przedstawia się oddział koszykarski, gdzie, prócz wyrobów zwykłych, w wielkiej ilości wykonanych przez jednoręcznych, jak kosze podróżnych, koszyków targowych i innych przedmiotów tego rodzaju, znajdują się też wyroby koszykarskie galanteryjne z trzciny, prętów struganych, traw, wreszcie w osobnem miejscu umieszczono próbki robót oddziału zegarmistrzowskiego.

Następną salę zajmuje oddział introligatorstwa i drukarstwa, oraz rysunki z zakresu malarstwa pokojowego i luźne próby rysunkowe inwalidów. W dziale introligatorskim widzimy bogate, artystyczne oprawy książek, albumy, oraz zwykłe oprawy introligatorskie, gdzie też spotykamy roboty jednoręcznych inwalidów.

W dziale drukarskim, obok zwykłych prac drukarskich, znajduje się cały szereg druków oraz robót drukarskich kolorowych, n. p. pastorałki, kartki pocztowe i t. p. Osobną salę zajmuje krawiectwo męskie i damskie, oraz szewstwo. Cały szereg wykonanych garniturów męskich, kilka ubrań dziecięcych, kostyumów damskich, mundurów wojskowych, łącznie z rysunkami zawodowymi, umieszczonymi na ścianie — dają ciekawy obraz prac oddziału krawieckiego.

W oddziale szewskim widzimy początkowe roboty cholewkarskie, roboty próbne z różnych materyałów, następnie ze skóry, a dalej gotowe wyroby od najprostszych, do eleganckiego obuwia, tak damskiego jak męskiego.

Ostatnią wreszcie salkę przeznaczono na bednarstwo i szczotkarstwo; ten ostatni oddział jest najmłodszym warsztatem w szkole. Oddział szczotkarstwa obejmuje wyroby od najprostszych, do szczotek lepszych, przeznaczonych dla różnych celów, jak n. p. do ubrań, mebli, kapeluszy i t. p.

W tej także salce umieszczono wypracowania szkolne analfabetów i oddziału przemysłowo uzupełniającego. Wystawiono tam cały szereg zeszytów, wykazujących postępy leworęcznych w nauce pisania, analfabetów, wypracowania stylistyczne, buchalteryjne i inne.

Wystawione rozliczne prace i okazy z rozmaitych działów, zwłaszcza w dziale cyzelerskim i ślusarskim, wreszcie rzeźbiarskim, świadczą o rzetelnych i skutecznych wysiłkach ze strony kierownictwa Szkoły inwalidów, którzy, dzięki temu, osiągnęli w stosunkowo krótkim czasie rezultaty nadzwyczajne. Należy zważyć, że są to prace ludzi wyłącznie prawie niefachowych, którzy dopiero dotyczące rzemiosło przyswoili sobie po wstąpieniu do szkoły, nie mając często żadnego w tym fachu wykształcenia. — Na wielu przedmiotach widać kartki z napisem: „Wykonał analfabeta“. — Oczywiście ze szkoły tej nikt już analfabetą nie wychodzi, gdyż każdy inwalida musi nauczyć się tam pisać i czytać.

Zgon zasłużonej wychowawczyni.

Niema tygodnia, niema prawie dnia, któryby nie przyniósłby smutnej wieści o zgonie osób, szczerze oddanych swemu zawodowi i z zaparciem prawdziwem pracujących dla dobra ogółu. — Szereg ich, już w roku bieżącym, choć dopiero się zaczął, jest bardzo długi, spotykamy w nim nazwiska, które i po latach wdzięczna potomność wspominać będzie ze czcią i szacunkiem.

Do rzędu ich należy nazwisko ś. p. Sebaldy Münichowej, zmarłej w Krakowie w sześćdziesiątym roku życia, dnia 9-go marca.

Zgon jej, to bolesna strata dla tych wszystkich, którzy ją bliżej znali, niepowetowana zaś szkoda dla polskiego szkolnictwa, dla rozwoju którego położyła niespożyte zasługi, zwłaszcza na stanowisku tak odpowiedzialnem i trudnem jak kierowniczki seminaryum nauczycielskiego żeńskiego.

Ukochała zawód pedagogiczny, któremu oddała się od wczesnej młodości. Pracowała jako nauczycielka od ośmnastego roku życia w Krakowie, następnie przy zakładach naukowych w Warszawie, gdzie brała też udział w reformie szkół. W Krakowie, po śmierci męża, powróciła do swej umiłowanej pracy i otworzyła seminaryum nauczycielskie żeńskie, któremu, otoczona ogólnem uznaniem i szacunkiem, poświęciła ostatnie lata swego życia i zdrowia.

Jako członek i inicyatorka licznych stowarzyszeń katolickich, społecznych i pedagogicznych pozostawia u szerokiego ogółu przykład gorliwej pracy dla Boga i Ojczyzny — a ziarno, posiane w sercach wielu wdzięcznych uczenic, wyda plon obfity u ludu, między który ofiarnie pracować podążyły. — Otoczona zacnem i szczerze jej ideom oddanem gronem profesorskiem, znajdowała w niem podporę swej pracy.

Cześć Jej pamięci!

Dwieście pięćdziesiąt koncertów w Krakowie.

W ciężkich czasach wojennych, które przytłumiły normalny rozwój życia kulturalnego, warto zanotować fakt, który stanowi chlubny bilans pracy kulturalnej na niwie muzyki w Krakowie: 250-ty koncert, urządzony przez Dyrekcyę koncertów krakowskich od czasu sezonu 1908—1909 roku. A w tym jubileuszu koncertowym nie tylko liczba imponuje, lecz przedewszystkiem naprawdę artystyczna, wykluczająca wszelką spekulacyę działalność organizatora tych koncertów p. Teofila Trzcińskiego. Niepodobna w krótkiej notatce wyliczyć choć w przybliżeniu planów jego pracy artystycznej, które zaznaczyły się tak dodatnio w kulturze muzycznej Krakowa. Dość tu jednak zaznaczyć, że p. Trzciński, znawca i miłośnik muzyki, nie szedł bynajmniej po łatwej i pewnej drodze robienia kasy na koncertach ulubionych „gwiazd“, lecz wprowadzał artystów, znakomitych wprawdzie, lecz u nas bynajmniej nieznanych. Wystarczy tu wymienić koncerty Casalsa, Thibaud, Hekkinga, Cortot, kwartetu Capeta i ostatnio Petri'ego. Niepodobna tu także pominąć koncertów warszawskiej i wiedeńskiej Filharmonii, monachijskich i wiedeńskich Tonkünstlerów, wiedeńskiego Konzertvereinu i tym podobnych. Podnieść tu przytem należy, że tylko dzięki staraniom p. Trzcińskiego występujące w Krakowie orkiestry zagraniczne wykonywały najnowsze utwory muzyki polskiej, a między innemi dzieła Paderewskiego, Różyckiego, Karłowicza, i innych. Osobne, chlubne miejsce w tym bilansie koncertowym zajmuje dwudniowy Festival polskiej muzyki oraz cykl Chopina i Beethovena.

Działalność artystyczna p. Trzcińskiego znalazła też ogólne uznanie w kołach muzycznych Krakowa, czemu dał wyraz krytyk muzyczny „Kuryera Illustrowanego“ dr. J., który pisze między innemi:

„Już sama liczba imponuje, dowodząc ruchliwości i energii przedsiębiorstwa. Ważniejszem jednak, że cała działalność kierownika tegoż p. Teofila Trzcińskiego nacechowana była pierwiastkami artystycznego smaku i wykształcenia, że w programach koncertów, urządzanych planowo, dano nam słyszeć rzeczy najsławniejszych sił artystycznych, że ponad planem finansowej pomyślności ryzykownego przedsięwzięcia górował zawsze szlachetny zamiar kulturyzacyi społeczeństwa. Za to niech będzie dank i uznanie.“



Z pola walki: Kościół w Bapaume, zniszczony doszczętnie pociskami nieprzyjacielskiej artyleryi.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

24

— Czy... czy tutaj mieszka pan Żarnicki?... — zapytała trwożliwie Józia, wchodząc do przedsionka, dobrze ogrzanego i urządzonego jako poczekalnia.

— Pan Zarnicki? Tak jest!

— Czy on bardzo chory?

— No, chory to jest, ale nie tak znowu bardzo. My tutaj gorszych chorych widujemy... Nasz pan doktor go wyleczy — odpowiedziała tonem, jakby pociechy, służąca i z życzliwem zainteresowaniem spoglądając na Józię, dodała:

— To pewnie panienki krewny albo i narzeczony?..

Gorąca fala krwi uderzyła Józi do twarzy. Cóż miała odpowiedzieć? Wszak ten, do którego przyjechała, nie był ani jej krewnym, ani narzeczonym!

— Jabym chciała widzieć się z panem Zarnickim — rzekła po chwili, pomijając milczeniem pytanie służącej.

— U młodego pana jest teraz pan doktor. Ale ja pójdę zaraz powiedzieć pani Żarnickiej.

— Pani Żarnickiej?! — zawołała z przerażeniem Józia.

— No tak, przecież pan Żarnicki jest z matką. To pani nie wiedziała? Proszę, niech pani usiądzie, poczeka. Ja zaraz wrócę.

Dziewczyna szybko wybiegła, pozostawiając Józię samą, oszołomioną.

Więc Konrad jest z matką?.. No tak, to przecież rzecz zupełnie naturalna, że matka jest przy chorym synu... Że też to wcześniej nie przyszło jej do głowy.. I teraz nagle nieprzygotowana znalazła się w obliczu konieczności że zaraz zobaczy Konrada, musi stanąć przed jego matką... Matka... Jaka ona? Czy dobra? Czy podobna do niego? Czy słyszała kiedy o niej, o Józi?... Co powie? Jak ją przyjmie? Co sobie pomyśli?

Usiłowała przypomnieć sobie, co jej swego czasu Konrad o matce opowiadał. Mówił, że matka kocha go niezmiernie, że pieściła go nawet zanadto i psuła przez to. Dawał jednak, że choć bardzo kochają się z matką, czasem przychodzi pomiędzy nimi do starć, bo on nie zawsze godzić się chce i może na ambitne plany przyszłości które ona snuje dla niego.

— Mama uważa mnie za ósmy cud świata, za doskonałość skończoną — mówił z uśmiechem — zawsze jej się zdaje, że jestem królewiczem z bajki, który dostanie królewnę zaczarowaną i w dodatku całe królestwo z za siedmiu gór, z za siedmiu rzek, a tymczasem ja jest m sobie bardzo zwykły śmiertelnik, pełen wad i słabo t k.

Może pani Zarnicka pomyśli, że ona się narzuc ? Może weźmie jej za zł ? Nie zrozumie... potępi...

Dziesiątki pytań bez odpowiedzi i trwożnych przypuszczeń kołowały w myśli Józi.

— Proszę panienki, pani Zarnicka prosi!

To wróciła służąca.

Na powitanie Józi podniosła się z głębokiego, wyścielanego fotelu wysoka, kształtnie zbudowana kobieta, ubrana w ciemną, elegancką, bardzo gustowną suknię. Oczy jej podobne były do oczu syna: ciemne, duże, pięknie wykrojone i oprawione. Tylko wyraz był inny, chłodniejszy, więcej przenikliwy. Inny był też układ i rysunek ust, o wargach cienkich i wązkich. Ani śladu miłego uśmiechu Konrada. Charakterystyczną cechą twarzy pani Zarnickiej był rys energii i silnej woli, którego brakowało jej synowi. Było coś w tej kobiecie siwiejącej już, ale bardzo jeszcze przystojnej, wysokiej, imponującej dystynkcyą ruchów, ubrania i całej postawy, co przypominało Józi, nie wiedzieć dlaczego ojca...

I jak nieraz przed ojcem w chwilach jego gniewu traciła całą pewność siebie, całą zwykłą swoją rezolutność, tak i teraz pod badawczem wejrzeniem pani Zarnickiej, zmieszała się, stropiła i stała bezradnie. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, zapomniała się nawet ukłonić...

— Z kim mam przyjemność? — zapytała matka Konrada, spoglądając z nieufnem zdziwieniem na młodą dziewczynę.

— Nazywam się Józefa Maliniewiczówna — po wiedziała cicho Józio.

— Ah, tak!.. Panna Maliniewiczówna!...

Wyciągnięta na powitanie ręka pani Zarnickiej cofnęła się i opadła nagle... Ostre i wyraźnie już nieprzyjazne spojrzenie przeszyło biedną Józię, która stała jak na torturach. Słowa matki Konrada, wypowiedziane tonem tak twardym i zimnym, jakby w lodzie wyrąbane, odebrały dziewczynie resztkę odwagi. Nie mogła już wątpić że nazwisko jej nie jest obcem i nie mogła się łudzić, że czeka ją jakieś miłe powitanie.

— Czego pani sobie życzy?

Znowu każdy wyraz, niby ciężki kawałek lodu, spada na serce Józi.

— Ja... ja... chciałabym się widzieć z panem Żarnickim — wyszeptała tak cichutko, że pani Zarnicka więcej domyśliła się tych słów, niż je dosłyszała.

Nieśmiało, z korną gorącą prośbą podniosła Józia swoje śliczne, niebieskie oczy ku starszej kobiecie. Spojrzeniem błagała o litość, o trochę litości i zrozumienia...

Gdyby pani Zarnicka nie widziała w Józi niebezpiecznej zawady na drodze do świetnego ożenku, ułożonego przez nią dla syna — byłaby się może wzruszyła błagalnem wejrzeniem, nieśmiałą, pełną wdzięku postawą dziewczęcia... Byłaby może odczuła, że Józia cierpi, dławi się tłumionemi łzami i dręczy wstydem palącym.

Ale ten właśnie wdzięk młodej dziewczyny, ta piękność jej niezaprzeczona, tchnąca dziwnym uro kiem, potęgowały niechęć matki Konrada i budziły w niej niemal nienawiść.

— Tak! Ona naprawdę może być niebezpieczną ta „zepsuta smarkata“, „bezczelna kokietka“, jak ją o Maliniewiczównie nie omieszkali poinformować rozmaici „najserdeczniejsi“.

Teraz zrozumiała, dlaczego tak trudno było „wybić“ synowi z głowy „romans“ z córką urzędnika bez posagu i wpływów towarzyskich.

Jasnem stawało się, dlaczego Konrad tak uparcie i bez wyraźnego powodu, ociągał się z oświadczeniem krociowej pannie Idie Masławskiej.

Kiedy Konrad został superarbitrowany z wojska, matka wyjechała z nim umyślnie do Zakopanego — po części dla pokrzepienia wątłego zdrowia syna, a więcej dla planów matrymonialnych, które sobie w cichości serca usnuła.

W Zakopanem od początku wojny bawiła dawna jej znajoma i koleżanka, bogata właścicielka ziemska pani Masławska z jedynaczką Idą, panną cokolwiek anemiczną o jasno złotych włosach i szarych, przygasłych oczach, które się ożywiały dopiero na widok Konrada Zarnickiego.

Wszystko układało się składać najlepiej. Pani Masławska była zachwycona Konradem, panna wyraźnie zakochana i matki nawet już po cichu omówiły pomiędzy sobą małżeństwo „dzieci“...

Tylko z Konradem nie szło tak łatwo... Towarzyszył wprawdzie pannie Idzie, grywał z nią w tenisa, chodził na spacery, jeździł na wycieczki, ale się nie oświadczał...

Niekiedy buntował się i oznajmiał matce, że nie chce znać tej „żółtej lalki na sprężynach“. Wkrótce jednak opór jego słabł pod wpływem nalegań i próśb matki i tego niezwykłego zainteresowania, jakie okazywała mu tak cicha i wstrzemięźliwa w słowach dla innych panna Ida.

Ostatecznie zwlekał i wahał się tak długo, aż silne zapalenie płuc przerwało konkury.

Pani Zarnicka umieściła syna w sanatoryum i za mieszkała z nim razem. Choroba Konrada nie przerwała znajomości z paniami Masławskiemi. Codzień nie matka i córka odwiedzały Zarnickich i przynosiły najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko można było dostać w Zakopanem.

Konrad jednak przyjmował te dowody pamięci z zupełną obojętnością. Z taką niezwykła obojętnością, że czasem nawet nie podziękował, że czasem nawet nie odwrócił głowy, kiedy panie Masławskie wchodziły do jego pokoju.

Zachowanie to szło jednak na karb choroby, bo lekarz dr. Rzęśniewski skonstatował u młodego Zarnickiego nietylko zapalenie płuc, ale i silne rozdrażnienie nerwowe.

Chory miewał niekiedy gorączkę tak wysoką, że tracił przytomność. A wówczas w malignie na szczerniałe, spękane usta jego wyrywał się okrzyk skargi i tęsknoty: „Józiu!... Józiu!...“

Słyszała to matka i serce jej wzbierało żalem i goryczą, że syn nie ją przyzywa, ani tę, którą mu ona na żonę przeznaczyła, ale jakąś obcą dziewczynę.

Nie znając wcale Józi, zaczynała jej nienawidzieć.

I oto teraz nagle miała ją przed sobą żywą, świeżą, jak niewinną i dziwnie uroczą z temi jasnemi, rusałczemi oczyma.

W Zarnickiej zakipiał gniew. Ostrem i zimnem jak stal spojrzeniem przeszywając dziewczynę, powiedziała dobitnie i stanowczo:

— Żałuję bardzo, ale syn mój jest chory i wizyt żadnych przyjmować nie może!...

Józia zadrżała.

— Och! Proszę pani, ja przyjechałam umyślnie! — wybiegło jej na usta prośbą błagalną i naiwną.

Zarnicka zrobiła zdziwioną minę.

— Jak to umyślnie? Więc pani przyjazd do Zakopanego nie jest przypadkowy?

— Nie!...

— Pani wiedziała, że syn mój chory?

— Wiedziałam...

— Kiedy pani przyjechała?

— Dzisiaj rano!

— Z kim? — indagowała dalej Zarnicka coraz silniej zaniepokojona.

— Sama... — zabrzmiała odpowiedź tak cicha, jak szmer liści, tchnieniem wiatru poruszanych.

— Jakto? Sama zupełnie?! Bez rodziców?! Bez żadnej opiekunki?! Bez jakiejkolwiek starszej towarzyszki?!

— Przyjechałam zupełnie sama...

Pani Zarnicka sama nie wiedziała, czy jest więcej zdumiona, czy oburzona. W umyśle jej ugruntowało się przypuszczenie, że Maliniewiczówna to nietylko awanturnica, ale śmiała, niebezpieczna spekulantka, która w tak niezwykły sposób chce ostatecznie ujarzmić jej syna i zdobyć go sobie na męża.

— Taka młoda i taka zepsuta już i bezczelna! — pomyślała — Te łzy w oczach, ta zalękniona minka niewiniątka, to wszystko wyrafinowana komedya!...

Z ironicznym, pogardliwym uśmiechem na ustach pytała dalej:

— Wolno zapytać, czy też rodzice pani lub opiekunowie wiedzą o tej podróży?

Józia zwiesiła głowę na piersi i milczała.

Gdyby w głosie matki Konrada posłyszała jakiś cieplejszy odcień, gdyby odczuła choć jedno życzliwe drgnienie, byłaby się jej zapewne rzuciła do kolan i wybuchając płaczem serdecznym, wyznała wszystko.

Ale przed tą panią dumną i surową, od której szedł prąd wrogi i nienawistny, płakać nie chciała i serca swego otworzyć nie mogła.

Milczała więc, ale to milczenie było dla pani Zarnickiej dostateczną odpowiedzią.

— Pani nie odpowiada? Tak, zatem należy domyślać się, że pani poprostu uciekła! Bardzo pięknie! Bardzo chwalebnie! Ileż to pani ma lat? Z wyglądu sądząc, najwyżej ośmnaście! Istotnie obiecujące początki!

Jeszcze niżej pochyliła się głowa Józi. Szybkim, nerwowym ruchem zakryła dziewczyna rękami twarz, którą oblał palący rumieniec wstydu.

Każde z tych twardych, nielitościwych słów spadało na nią, jak krwawa obelga, każde z nich odczuwała jak policzek.

A nieubłagana pani Zarnicka głosem miarowym, spokojnym, w którym czuć było jednak głuche nuty gniewu — mówiła dalej:

— Matka pani przyjemną ma dzisiaj niespodziankę!

— Ja nie mam matki oddawna — szepcze Józia, a splecione przy oczach jej palce, mokre są już od łez.

Ale ta żałosna skarga sieroty nie wzrusza kobiety wrzącej gniewem i oburzeniem.

— To bardzo szczęśliwie dla niej, że nie dożyła takiej z córki pociechy! Nie! Doprawdy, gdyby mi coś podobnego opowiadano, nie uwierzyłabym! Taka młoda dziewczyna!... Więc pani śledziła mojego syna! Szpiegowała go! Dowiadywała się i teraz chce pani skorzystać z odpowiedniej chwili? Prawda?!.. Co pani właściwie wyobrażała sobie, przyjeżdżając tutaj? Jak pani nie wstyd tak narzucać się!

Te słowa złe, urągliwe przebrały miarę. W sercu Józi zaczynał się budzić bunt.

Przestała płakać, odjęła ręce od twarzy, podniosła głowę i z odcieniem dumy przemówiła:

— Ja nie szpiegowałam nigdy nikogo i nikomu się nie narzucałam! A przyjechałam, bo pan Konrad napisał do mnie, że jest ciężko chory i pragnie koniecznie widzieć się ze mną.

— Więc pani stale korespondowała z moim synem?!..

— Nie! Ale on znał mój adres.

Zarnicka czuła, że Józia mówi prawdę, ale tem większy gniew to w niej budziło. Miała teraz niezbity dowód, że Konrad nie zapomniał o Józi.

Postanowiła więc raz na zawsza przeciąć ten „romans“ i dać porządną nauczkę „intrygantce“.

— Więc dla tych kilku słów, napisanych w przystępie chwilowego kaprysu, jak to się często zdarza u chorych, przyjechała pani? Szkoda było się trudzić i urządzić coś podobnego swoim opiekunom! Zaręczam pani, że syn mój, gdyby panią teraz zobaczył, byłby bardzo zdziwiony i to nieprzyjemnie! O tem, żeby się pani widzieć z nim miała, niema mowy. Po pierwsze niema sensu, a powtóre mogłoby go to tylko rozdrażnić. Doprawdy wierzyć mi się nie chce w to wszystko, bo to jakoś brzmi zupełnie

romantycznie i naiwnie. A pani, wnioskując z tak śmiałego kroku, do naiwnych nie należy!

Ostatnie słowa pani Zarnickiej przeszły mimo uwagi Józi, nie odczuła ich obrażającej intencyi, nie słyszała ich nawet może.

Jedno tylko zrozumiała, że matka Konrada wypędza ją, że nie pozwoli jej zobaczyć się z nim. Musi odejść, nie widząc go, kiedy on jest tak blisko, tak bardzo blisko i może w tej chwili tęskni, może myśli, że ona zapomniała i nie przyjdzie.

Stała, nie poruszając się z miejsca.

— Żegnam panią — odezwała się z naciskiem Zarnicka. — Sądzę, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia... Radzę pani odjechać najbliższym pociągiem...

Jak automat obróciła się Józia ku drzwiom. Zanim jednak przestąpiła próg, zatrzymała się...

Cała męka jej serca bryznęła z ust potokiem gwałtownych słów:

— To nieprawda, co pani mówi!... On nie dla kaprysu pisał do mnie!.. On naprawdę chciał widzieć się ze mną! I pani wie o tem!... O, jaka pani niedobra i niesprawiedliwa!...

Zaiskrzyły się gniewem ciemne oczy Zarnickiej. Poskoczyła ku Józi i wyciągnęła rękę takim gestem, jakby zamierzała chwycić dziewczynę za ramię i wypchnąć za drzwi.

W tej chwili jednak do pokoju wszedł wysoki mężczyzna z łysawą już trochę czaszką i spiczasto przyciętą ciemno złotawą brodą.

Zarnicka na widok jego cofnęła się i starała się opanować wzburzenie.

— Dzień dobry panu, panie doktorze! Przepraszam pana... Za chwilę służę... Miałam tutaj taką małą, nieprzyjemną przeprawę..

I zwracając się znowu do Józi, nakazującym tonem wyrzekła:

— Żegnam panią!

Józia nie odchodziła... Z pobladłą jak płótno twarzą, niepamiętna na nic, oszalała z bólu, powtarzała:

— On chciał... on chce mnie widzieć!...

— Pan daruje, panie doktorze, ta panna jest zdaje się niepoczytalną!...

Przenikliwe oczy doktora spoczęły na Józi, przeniosły się na Zarnicką, a potem znowu powróciły do Józi.

— Pani pozwoli — rzekł szybko, uprzedzając energiczny gest Zarnickiej — żebym ja, jako lekarz, przemówił do tej panienki.

Podszedł do dziewczyny, która umilkła nagle sama przerażona swoją śmiałością, przyjrzał się jej uważnie i łagodnym tonem zapytał:

— Czy to może z panną Maliniewiczówną mam przyjemność?

Niebieskie oczy Józi podniosły się ku niemu z wyrazem bezbrzeżnego zdziwienia.

— Tak...

— Pani pozwoli, że się jej przedstawię. Jestem doktor Rzęśniewski. Jakże to dobrze, że pani tak szybko przyjechała!... Mój pacyent, pan Konrad Zarnicki, oczekuje na panią z niecierpliwością!...

— Ależ, panie doktorze! — zawołała przerażona pani Zarnicka. — Co pana uprawnia do przypuszczenia, że syn mój chce widzieć się z tą panną i skąd pan ją zna?...

— Pannę Maliniewiczównę poznałem od razu — odparł spokojnie lekarz — bo widziałem kilkakrotnie jej fotografię u pana Konrada. O tem, że pragnie się z nią zobaczyć, mówił mi nieraz i ja bardzo wiele obiecuję sobie z tego przybycia panny Maliniewiczówny, bo moja wiedza lekarska jest bezsilna wobec nerwowego rozdrażnienia, które nurtuje syna pani!...

— Panie doktorze, pan się myli chyba!...

— Nie, nie mylę się!... Powody moralnej natury opóźniają wyzdrowienie i one muszą być usunięte!... Chodźmy, proszę pani! — zwrócił się do Józi. — Chory ciągle dopytuje się, czy nie ma odpowiedzi na list, który ja sam kilka dni temu zaniosłem na pocztę.

— Jakto, bez mojej wiedzy? — krzyknęła Zarnicka, zastępując drogę dr. Rzęśniewskiemu, który, ująwszy Józię pod rękę, chciał ją wyprowadzić z pokoju.

Lekarz zmierzył rozgniewaną kobietę spokojnem, chłodnem spojrzeniem.

— Syn pani, o ile wiem, jest pełnoletni!

— Mój syn nie może widzieć się z tą panną!...

Józia mimowolnie przycisnęła silniej rękę do ramienia doktora... Czuła, że w tym człowieku z poważną, rozumną twarzą i łagodnemi, jasnemi oczyma, ma sojusznika i obrońcę... On ją zaprowadzi do Konrada!...

— Syn pani z panną Maliniewiczówną widzieć się musi!

— Jako matka, zabraniam!...

— Jako lekarz, nie usłucham!... Idziemy, proszę pani!

Wyprowadził drżącą Józię na korytarz, puścił jej ramię i wskazując ręką przed siebie, rzekł:

— Niech pani idzie... Pokój numer piąty!... Ja tam za chwilę przyjdę!

— — — — — — — — — — — — —

— Ależ doktorze! Pan oszalałeś!... Pan jesteś w zmowie z tą awanturnicą!

— Uwzględniam niezwykłe rozdrażnienie pani, niemniej zwracam uwagę, aby się pani zechciała liczyć więcej ze słowami!...

— Na miłość Boską! Toż to niesłychane, co pan urządzasz!... Prowadzisz do mojego syna tę jakąś ladacznicę, a mnie, matce, nie pozwalasz pójść do mojego rodzonego dziecka!.. To już przekracza poza prawa i obowiązki lekarza!...

— Bynajmniej! Jestem najmocniej przekonany, że rozmowa z panną Maliniewiczówną dodatnio wpłynie na stan zdrowia pacyenta... Silna gorączka u syna pani spowodowana była nie tylko chorobą płucną, ale i podrażnieniem nerwowem.

— Ależ!...

— Niechże pani pozwoli mi dokończyć! Z drugiej strony, nie mogę dopuścić do tego, aby pani synowi robiła jakąś scenę, bo to może spowodować fatalne skutki!... Czy pani chce wywołać atak?...

Zarnicka ponuro pochyliła głowę. Była pobitą...

Dr. Rzęśniewski dodał jeszcze:

— Tyle jako lekarz; a teraz jako człowiek powiem jeszcze, że pani, kobieta i matka, mogłabyś trochę więcej mieć litości nad tem biednem dzieckiem!

— — — — — — — — — — — — —

Powoli, ostrożnie, cicho uchyliła Józia drzwi i na palcach stąpając, wsuwa się do pokoju, w którym światło dzienne przyciemnione jest do połowy spuszczoną roletą.

Oczy dziewczyny, jak gońce miłości i tęsknoty, wybiegają naprzód i chciwem spojrzeniem obejmują ciemną głowę męską, opartą o wysoko usłane poduszki. Obok łóżka stoi mały stoliczek, a na nim kilka niewielkich flaszeczek z aptecznemi etykietami i wysoka szklanka, pełna jasno-rubinowego napoju. Okrągły stół na środku pokoju wygląda jak mały, zaimprowizowany ogród, tyle na nim pięknych kwiatów: smukłe, wytworne mieczyki, puszyste, różnobarwne astry, przepyszne chryzantemy, złote kiście mimozy i róże wielkie, rozkwitłe o subtelnej, delikatnej woni, jaką oddychają tylko kwiaty jesienne lub cieplarniane.

Chory nie syci wzroku tą powodzią kwiecia, nie sięga ani po lekarstwo żadne, ani po chłodzący napój jasno czerwony, winem snać czy sokiem zaprawiony.

Nie słyszy też lekkiego skrzypnięcia drzwi ni cichutkiego szmeru kroków. Leży z przymkniętemi powiekami nieruchomy, a tylko ręce jego co chwila drgają nerwowo i białością swoją niemal przeźroczystą odcinają się od ponsowego tła kołdry.

Niespostrzeżona podchodzi Józia do łóżka i wzrok zatapia w twarzy znanej dobrze, drogiej, a dzisiaj tak zmienionej.

Na policzkach tak wychudłych, że zda się skórą tylko obciągniętych, lśnią małe wypieki, a od skroni, aż ku ustom ciągną się żółte smugi. Wargi zczerniałe, spękane i broda dziwnie zaostrzona.

Serce wali dziewczynie jak młotem, łzy duszą w gardle i palą pod powiekami.

To on, on! Jaki zmieniony, mizerny, wychudły! Czy śpi?

Ostrożnie, delikatnie kładzie Józia chłodną swoją rękę na gorące, spocone czoło Zarnickiego.

Pod tem dotknięciem drgnęły powieki chorego i podniosły się. Ciemne, wielkie oczy, błyszczące gorączką, spojrzały na Józię.

Nagła błyskawica szalonej radości i powrót do życia!..

— Józiu, ty?...

— To ja! Ja, Konradzie... Jak się czujesz?

— To ty! Ty naprawdę! Mów, niech słyszę twój głos... Może to znowu widziadło gorączkowe... Tyle razy śniło mi się, tyle razy majaczyło w gorączce... Ale nie, ty stoisz, nie znikasz, widzę cię, czuję dotknięcie twojej ręki Józiu!...

— To ja przyjechałam, boś mnie chciał widzieć!

Dalej Józia mówić nie może, bo wybuchnęłaby płaczem, sama nie wie, żalu czy radości.

Jakby chcąc go upewnić że to ona sama żywa jest przy nim, tuli w swoich drobnych, ale zdrowych i silnych dłoniach te ręce męskie, wychudłe, osłabłe, przejrzyste białe...

— Przyjechałaś!... Jakaś ty dobra!... A ja wątpiłem!.. Powiedz, przebaczyłaś, kochasz?...

— Nad wszystko, Konradzie!...

Kilkanaście minut potem, gdy Józia zniknęła we wnętrzu sanatoryum, do drzwi wchodowych zadzwonił Stobiński.

Otworzyła mu ta sama, co i Maliniewiczównie, zgrabna, przystojna służąca.

— Moja ładna panienko — zaczął z uprzejmym uśmiechem, grzecznie zdejmując kapelusz — proszę mi powiedzieć Tutaj niedawno weszła moja kuzynka.

Dziewczynie podobało się nazwanie jej „ładną panienką", to też uśmiechnęła się z zadowoleniem i usłużnie odpowiedziała:

— Aha! To pewnie ta panna w popielatym płaszczu, która pytała się o pana Zarnickiego?

Stobiński o mało co nie krzyknął głośno. Nazwisko Zarnickiego wyjaśniło mu odrazu wszystko.

Niejednokrotnie słyszał przecież, nawet od samego Maliniewicza, historyę praskiej „awantury"... Do niego zatem uciekła Józia.

Ale to jest sanatoryum, więc on chyba chory! Postanowił wypytać służącą.

— Tak! Właśnie o pana Zarnickiego! Jakże on się miewa?

— O! Tak tam, niebardzo dobrze... Choruje...

— Czy moja kuzynka poszła już do niego?

— Zaprowadziłam tę panią do pani Zarnickiej, matki młodego pana...

Zaiskrzyły się oczy Stobińskiego. Splątane myśli błyskawicą przebiegały mu przez mózg. Józia skompromitowana. Zarnicki chory! Jest z matką! No, ta matka nauczy najpewniej Józię rozumu! I co potem zrobi ta szalona dziewczyna? Mielnik nie ożeni się już z nią! Walczakowa zrobić nic nie będzie chciała! Maliniewicz z domu wypędzi!

Gdzie ona pójdzie?! Do kogo?! Kto się nią zaopiekuje, jeżeli nie on, Stobiński!

Tak! Zaopiekuje się i wtedy odpłaci jej za to wszystko! Wybije jej raz na zawsze z głowy Zarnickich i Nie Zarnickich.

Jak ona tego Zarnickiego kochać musi, jeżeli dla niego...

Piekło dzikiej zazdrości zawrzało w duszy Stobińskiego.

Pamiętał jednak, gdzie i przed kim stoi, to też spokojnie mówił dalej:

— Moja śliczna panienko, jak panience na imię?

— Małgorzata — odpowiedziała służąca, bardzo zadowolona ze stopniowania komplementu.

— Więc panno Małgosiu, mam prośbę do panienki, — jakby na wymowniejsze tej prośby poparcie, wyjął z kieszeni portmonetkę i wsunął banknot dwukoronowy w rękę dziewczyny. Ja tutaj przyjdę tak za pół godziny, może za godzinę. Panna Małgosia mi powie, czy kuzynka moja już poszła i w którą stronę się skierowała. Dobrze panno Małgosiu? Ja będę bardzo wdzięczny...

— Dobrze, proszę pana, dlaczegóżby nie? — uśmiechnęła się Małgosia, ujęta grzecznem zachowaniem Stobińskiego i sutym napiwkiem.

Oczy jej jednak błysnęły przebiegle i filuternie spoglądając na Stobińskiego, zapytała:

— Ale, tej pana kuzynce to nie trzeba pewnie mówić, że pan się o nią pytał?

Stobiński spojrzał na nią bystro. Zrozumiał, że go sprytna dziewczyna przejrzała.

— Panna Małgosia jest rozumna i domyślna. — wyrzekł, uśmiechając się trochę z przymusem — Tak jest, nie trzeba nic mówić...

I sięgnął znowu do portmonetki.

— Rozumiem, proszę pana.

— — — — — — — — — — —

— Więc gdyby nie ten list, to ty byłabyś!... O Józiu, Józiu! Jak mogłaś zapomnieć! Nie! Nie!... Daruj dziecinko, nie mam prawa robić żadnych wymówek! Ileś ty wycierpiała, biedne maleństwo moje! To ja byłem wszystkiemu winien! To ja byłem zły, samolubny! Ale już nie będę taki, Józiu, nie będę!

— Konradzie, nie mów tak dużo, może ci to zaszkodzić... Uspokój się, połóż — prosiła Józia, poprawiając poduszki i usiłując ułożyć na nich głowę Zarnickiego.

— Nie, nic mi nie będzie! Czuję się daleko lepiej, prawie zupełnie dobrze! Zobaczysz wyzdrowieję niedługo! Nie zawsze będę taki nieruchomy i słaby jak teraz! O! Jak ja tęskniłem za tobą, jak pragnąłem cię zobaczyć! A ty Józiu, a ty?...

— I ja także... bardzo... bardzo...

— Malutka moja! Najlepsza, złota Józka! Dla mnie rzuciła wszystko i wszystkich! O! Ja cię nie znałem. Józiu, ale teraz zostaniesz przy mnie... Nie wrócisz do tego tam! Nigdy, nigdy!

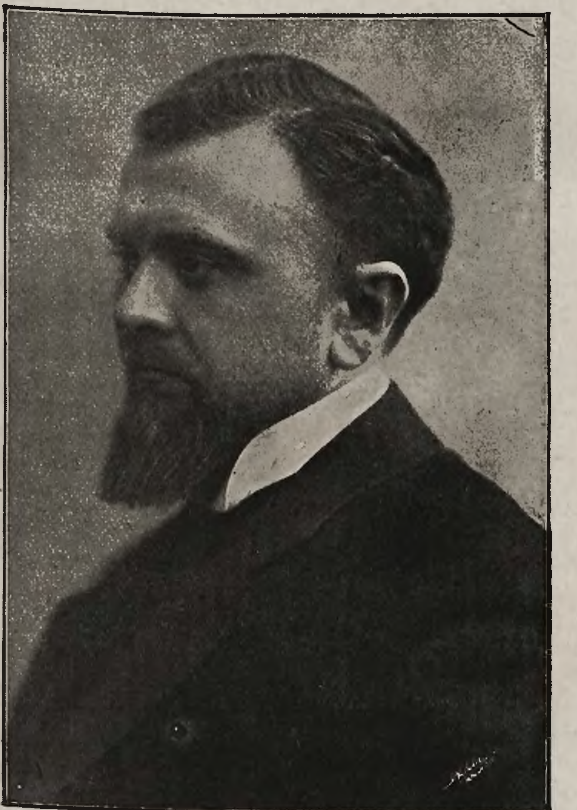
Mimowolnie jakiś uśmiech goryczy przemknął po wargach Józi. Powracająca trzeźwość myśli mówiła jej jasno, że wrócić teraz niegdzie i do nikogo nie może, bo mosty spaliła za sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Bohaterska walka polskiego lotnika.

W dniu 11 go lutego lotnik armii austryackiej, Polak, porucznik Wilhelm Siemieński, stoczył nad Udino zaciętą walkę z trzema aeroplanami włoskimi — „Corriere della Sera“ oddając „bohaterskiemu“ przeciwnikowi „cześć za dzielność i męstwo“, podaje niezmiernie interesujące szczegóły tego pojedynku, stoczonego na wysokości trzech tysięcy metrów nad ziemią.

Liczne tłumy — pisze dziennik włoski — korzystając z dnia świątecznego, zaległy ulice Udino,



Dwieście pięćdziesiąt koncertów w Krakowie: Dyrektor Teofil Trzciński.

radując się ciepłem promieni słonecznych i pierwszemi powiewami wiosny.

Nagle nad tem „dolce farniente“ ludzi, którzy o wojnie zapomnieć chcieli, rozległ się przeciągły, żałosny głos syreny alarmowej. Tłum, zrozumiawszy grożące niebezpieczeństwo, zaczął się rozpraszać, cisnąć do bram. W jednej chwili po zamykano okna i okiennice; miasto stało się puste i milczące.

Z daleka tylko dał się słyszeć huk armat. — Po chwili jednak ciekawość wzięła górę nad ostrożnością. Ulice znów się zaroiły ludźmi, którzy wszyscy z oczyma utkwionemi w górę, z zapartym oddechem, wypatrywali nieprzyjaciela.



Z pola walki Austryacki moździerz 35·5 ctm wśród śniegu na pozycyi wschodniego frontu.

Na razie na niebie widać tylko drobne białe punkciki. Czyżby to byli Austryacy?

Punkciki z każdą chwilą stają się wyraźniejsze. Tak, to są aeroplany nieprzyjacielskie, lecące niezmiernie wysoko. Teraz już żółte ich skrzydła wyraźnie się rysują.

Aeroplany zaczynają spokojnie kołować nad miastem, nie zważając na armaty, które, skierowane ku nim wciąż strzelają.

Tłum, zebrany na dole, z przerażeniem oczekuje świstu spadającej bomby. Ale aparaty krążą dalej spokojnie, widocznie nie mają zamiaru bombardować miasta. Więc cóż oni tu robią, po co przyjechali? Byłażby to tylko wyzywająca wycieczka nad naszem miastem?

Miasto tymczasem trzęsie się od huku wystrzałów. Dwa aeroplany latają wśród licznych obłoczków dymu, coraz bardziej się zbliżających i otaczających je wkrótce, jakby wieńcem wystrzałów.

Wtem jeden z aeroplanów zaczyna spadać pionowo w dół. Czy się przewrócił? Czy spadnie? Nie! Odzyskuje równowagę i płynie dalej. Natomiast drugi, wzniósłszy się wysoko, zaczyna się oddalać coraz bardziej, aż zniknął z oczu.

Dziesięć minut upłynęło od gwizdu syreny, gdy ukazał się na niebie, wznosząc się szybko i prosto, jak strzała, trójkolorowy nasz aeroplan. — Za tym pierwszym zdążają trzy inne. Jeszcze parę minut, a rozpocznie się niezapomniane widowisko.

Albatros spostrzegł niebezpieczeństwo, próbuje uciec. Naprózno. Strzały armatnie ze wszystkich stron odcinają mu drogę powrotną. Nasze samoloty wciąż się zbliżają. Nagle jeden z nich zaczyna spadać gwałtownie, lotem spiralnym z wysokości trzech tysięcy na dwa tysiące metrów.

Wszystkich patrzących przeszedł dreszcz, ale



Bohaterska walka polskiego lotnika: Porucznik W. Siemieński z swym aeroplanem.

mały aeroplan, odzyskawszy równowagę, zaczął się oddalać. Uszkodzenie motoru zmusiło go do wylądowania.

Tymczasem, na wysokości trzech tysięcy metrów, walka się rozpoczęła. Armaty przestały strzelać.

Przeciwnik został zamknięty pomiędzy trzema aeroplanami, które go otaczają; to atakują, to znów usuwają się z pod jego strzałów, uniemożliwiając mu wszelkie, niezmiernie zręczne próby wybicia się z koła.

Przyznać trzeba, że nasi mieli do czynienia z pierwszorzędnym szermierzem. Co chwila jeden



Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie: Msza polowa dla szóstej kompanii 13. pułku piechoty.

z nich szybko umknął w górę ponad nieprzyjaciela, podczas gdy tamte dwa krążyły dokoła niego. — Zgłuszone wystrzały karabinów maszynowych dochodziły do naszych uszu.

W pewnej chwili Albatros próbował wymknąć się pod nimi; rzucił się w dół spiralnym lotem, szukając wolnej drogi niżej. Ale zaledwie ustalił swój lot, już nasi otaczali go znowu z góry, z dołu, z boków, zacieśniając dokoła niego swe kręgi.

Jak długo trwała walka? Kto uszy i serce miał w górze, ten powiedzieć nie potrafi. Raporta mówią o kwadransie.

Na dwa tysiące metrów wysokości, nad placem, wysadzonym drzewami, na którym cały tłum się skupił, cztery aeroplany prowadziły dalej morderczą szermierkę, kołując i wzlatując, jakby wirem wiatru porwane.

Mitraliezy strzelały bez przerwy.

Wtem Albatros zaczął spadać. Za nim spuszczały się nasze samoloty. — Szybszy od nich, austryacki, uciekał. Ale widać było, że słabnie. Lot jego coraz bardziej się obniżał. Szukał miejsca, by opaść.

Po chwili pościg znikł z widnokręgu. Przeniósł się w kierunku Cividale. Ludzie tłumnie rzucili się w tę stronę, biegnąc na przełaj przez pola, łąki i winnice.

Oto dwa nasze samoloty. Lotnicy je porzucili, by dogonić nieprzyjaciela, który opadł o pięćset metrów dalej.

Już go widać na polu, koło drogi prowadzącej do Premariaco. Leży zniszczony doszczętnie, z połamanemi skrzydłami, ze strzaskanym propelerem i śmigą.

Zgruchotane skrzydła wznoszą w górę czarne krzyże. Wszystko zbryzgane krwią. Z rezerwoaru, przedziurawionego kulami, ciekmie benzyna. Lotników już niema na aparacie.

Natychmiast po wylądowaniu przybiegli ludzie i zabrali ich do szpitala poblizkiego. — Było ich dwóch: porucznik Wilhelm Siemieński i pilot kapral Flech.

Kapral dostał w ramię i w usta kulę, która mu szczękę strzaskała; rana nie jest jednak niebezpieczną. Ciężej ranny jest porucznik, który otrzymał postrzał w brzuch, a drugi strzaskał mu kostkę w nodze.

Operowano go natychmiast. Kula została wyjęta, ale wielki upływ krwi, więcej jak rana sama, czyni stan jego bardzo ciężkim.

Tak jemu, jak i jego towarzyszowi należy się cześć za dzielność i męstwo, z jakim spełnili swój obowiązek i z jakim walczyli do końca.

Bomb z sobą nie mieli; nie nieśli śmierci kobietom i dzieciom; mieli tylko dwa karabiny maszynowe. Bili się dobrze, „bohatersko", jak powiedział o nich jeden z naszych lotników, którzy go zestrzelili.

Zdaje się, że gdy go nasi dopadli, już strzał armatni przedziurawił był rezerwoar, z którego obficie ciekła benzyna. Pomimo tego walczył dalej. Mógł dać znak poddania, ale tego nie zrobił. Mieli jeszcze nadzieję, iż opanują atak i zestrzelą jeden z naszych aparatów, przez co rozerwą koło.

Prowadzili do końca walkę na śmierć i życie. Nie wiadomo, jaka mogła być ich misya; w każdym razie była to misya żołnierzy. Spełnili ją, jak żołnierze. Dlatego należy im oddać cześć, na jaką zasługują!



Z życia „krakowskich dzieci" na froncie: Zakończenie karnawału w 16 pułku obrony krajowej. (Krakowiak na „purimbalu").

Z pola walki.

Najciekawszem wydarzeniem ostatnich dni było tajemnicze „zwycięstwo" Anglików nad Ancre, gdzie zajęli oni stanowiska po obu stronach tego potoku, stanowiska, które Niemcy dobrowolnie, a co ważniejsza niepostrzeżenie opuścili! Nic dziwnego też, że prasa koalicyjna nie jest bynajmniej zachwycona tem „zwycięstwem". Prasa paryska nie tai poprostu konsternacyi z powodu, iż Anglicy nie zwrócili wczas uwagi na ów ruch strategiczny Niemców i dali się im podejść. Czyni też Anglikom zarzut z powodu, iż nie mieli pod ręką przygotowanej kawaleryi, którą rzucić możnaby w pościg za uchodzącym nieprzyja-





Płonące od wybuchu granatów zgliszcza w Bopaume na zachodnim froncie. **Z pola walki:** Zburzony pociskami pomnik w Beauraine na zachodnim froncie.

cielem. Skutkiem tego zaiścia Anglicy przystąpić będą musieli do ofenzywy bez dostatecznego wybadania stanowisk niemieckich.

Ta przykra niespodzianka ma jeszcze inne ujemne strony. Wyobraźmy sobie proces powstawania okopów po obu stronach. Linia obronny jest już albo zolnie, kawałek po kawałku, obraz sytuacyi na przeciwległym odcinku nieprzyiacielskim, by strzelaniem na ślepo nie marnotrawić tak drogiej amunicyi. Więc wywiady, patrole kawaleryjskie, więc badania lotnicze i t. d.

W takiem tedy położeniu znaleźli się Anglicy a na półtora kilometra pogłębioną, wpadły do rosyjskich okopów. — Dokonawszy zniszczenia i zabrawszy pióz jeńców, cztery karabiny maszynowe, powróciły do swych stanowisk.

Również natarcie sprzymierzonych nad Narajówką dało pomyślny wynik. Zabrano trzech ro-





Z życia „krakowskich dzieci" na froncie:
Przy wejściu do podziemnego teatru polowego. (X) Pułkownik Hohenauer. Zabawa zapustna 16 p. p. obrony krajowej w polu (Walc na „purim-balu").

przygotowana tak, że atakujący musi okopywać się dopiero w obliczu nieprzyjaciela, albo też obie strony okopują się równocześnie, jeśli to w danej chwili możliwe. Wojska czeka wtedy ni lada robota. Stanowiska należy dopiero zbudować, a to rzecz wcale nie tak prosta, budować w ogniu artyleryi nieprzyjacielskiej.

Wybitna rola w systemie okopów przypada artyleryi. Musi ona także stanowiska swe pobudować odpowiednio, a zwłaszcza zamaskować się należycie przeciw ciekawości lotników. Więc powstają nagle zagajenia, gdzie ich jeszcze wczoraj nie było; więc zboże, trawa — pokrywają naraz dach klecionki, w głębi której spoczywa śmierć siejące działo. Ale tu nie koniec. Dla tego działa zbierać potrzeba mo po opuszczeniu stanowisk przez Niemców. Muszą oni teraz *ab ovo* rozpoczynać całą pracę przygotowawczą z przystosowaniem jej do nowej linii niemieckiej. A jeszcze i przedtem niemało twardych orzechów do zgryzienia czeka Anglików. — Miary zdarzeń na terenie zachodnim dopełniają jeszcze nadaremne wywiady Anglików w Artois i uderzenia Francuzów nad Aisne, jakoteż w Szampanii. — Wszystkie te przedsięwzięcia zakończyły się w sposób dla nieprzyjaciela niepożądany.

Z innych frontów nie doniesiono o żadnych ważniejszych wypadkach. Jeszcze najwięcej stosunkowo ożywienia okazuje front wschodni w okolicy Łucka. Pod Woronczynem, na zachód od twierdzy łuckiej, wojska sprzymierzone kolumną 2 5 klm. szerokości, syjskich oficerów i dwieście ośmdziesiąt żołnierzy do niewoli; uprowadzono także siedm karabinów maszynowych.

Z życia „krakowskich dzieci" na froncie.

W każdym niemal numerze wypada nam pisać o „krakowskich dzieciach", naszych zuchach z 16 p. p. obrony krajowei. I nic dziwnego. Ich życie w polu, płynące wśród bohaterskich walk z nieprzyjacielem i wśród rozgwaru wesołej, pełnej animuszu zabawy, tworzy jeden z najbardziej charakterystycznych epizodów obecnej, największej w dziejach wojny... W poprzednim numerze pisaliśmy o odzna-



Z życia „krakowskich dzieci" na froncie: „Bal" 16. pułku piechoty obrony krajowej na zakończenie karnawału. (Mazur) (X) Pułkownik Hohenauer.

czeniu „krakowskich dzieci“ z 16 p. p. obrony krajowej i ich komendanta pułk. Hohenauera za męstwo. Dziś, na załączonych fotografiach możemy przyjrzeć się, jak ci dzielni żołnierze potrafią bawić się — z tym samym animuszem, z jakim idą do ataku...



Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie: „Damska“ kapela 16. p. p. obr. kraj. w poln. Dyrygnje St. Swirczek.

A dzieje się to wszystko w obliczu wroga, o czterysta zaledwie kroków od linii bojowej. Głównym ośrodkiem tej zabawy jest naturalnie „teatr polowy“, o którym już pisaliśmy kilkakrotnie. Jak wiadomo, niedawno Moskale zniszczyli granatami budynek teatralny, ale ta przygoda wojenno teatralna nie przeszkodziła by najmniej dalszemu rozwojowi tej niezwykłej sceny polowej. Wkrótce powstał nowy budynek teatralny, tuż za linią bojową (zaledwie czterysta kroków) dla bezpieczeństwa specyalnie wybudowany pod ziemią, w lesie. Nowy teatr posiada elektryczne oświetlenie i może pomieścić dwustu pięćdziesięciu widzów. W budynku tym znajduje się również kino, urządzone własnym kosztem przez pułkownika Hohenauera. W czasie przedstawienia przygrywa „kapela damska“, złożona naturalnie z dzielnych żołnierzy 16 pułku. A urządzenie tego podziemnego teatru i kina, wobec tak bliskiej odległości nieprzyjaciela, jest wprost zdumiewające...

Dość zaznaczyć, że nie brak tam nawet.. fortepianu, na którym oficerowie przygrywają często żołnierzom...

O przedstawieniach i artystach 16 pułku piechoty obrony krajowej pisaliśmy już w jednym z poprzednich numerów. Zaznaczymy tu więc tylko, że ten niezwykły, niewątpliwie jedyny „teatr polowy“, noszący nazwę, jak wskazuje widoczny na fotografiach napis, „teatru Sary Bernard“, nie zapomniał nawet o... benefisach artystów. Niedawno odbyło się tam właśnie przedstawienie na benefis dyrektora Swirczka, o czem głoszą specyalne tablice, które również widzimy na fotografiach...

Dzielni żołnierze 16 pułku piechoty obrony krajowej nie zapomnieli również i o karnawale... Jaki przytem panował humor, świadczą wymownie fotografie z „purim balu“, urządzonego w zapusty, naturalnie w lesie, na śniegu... Pomimo tak niezwykłych akcesoryów balowych, bawiono się i tańczono ochoczo, a atrakcyą były świetnie ucharakteryzowane pary Krakowiaków i Krakowianek... Był to w całem znaczeniu tego słowa bal kostyumowy, jedyny z pewnością w karnawale pamiętnego roku 1917...



Sympatyczny gość na scenie krakowskiej: Roman Żelazowski w roli Otella.



Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie: Nowy podziemny teatr i kino 16. pułku piechoty obrony krajowej, wybudowany przez pułkownika Hohenauera.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: Marya Segeny.

6

— Pozostaje mi tylko jeszcze jedna rzecz do dodania — rzekł, ocierając grube krople potu spływające mu z czoła. — Cokolwiek myślałem lub zrobiłem w owej chwili — oznajmiam formalnie, że nie widziałem już więcej pani Clemmens po opuszczeniu jej salonu. Jeżeli ją napadnięto, podczas kiedy byłem w hallu, to mogę tylko tyle o tem powiedzieć, że nic nie wiem. Nie jestem więc w stanie wskazać panom wykonawcy tego wstrętnego czynu.

Po raz pierwszy Hildreth wystąpował w obronie swojej niewinności w tak jawny sposób. Dźwięk głosu jego, stanowczy i szczery, uczynił pewne wrażenie na sali. — Nawet koroner stracił trochę swój surowy wygląd, a sędziowie przysięgli zaczęli szeptać między sobą.

Jedno to zdanie jednakże nie mogło jeszcze rozwiać podejrzeń ciążących na młodym człowieku.

— Czy możnaby wiedzieć — zapytał jeden z sędziów — dlaczego pan powrócił wczoraj wieczorem do Sydney?

Hildreth już widocznie zdał sobie sprawę z poważnej sytuacyi, w jakiej się znajdował, bo odpowiedział bezzwłocznie:

— Posłyszawszy o zamordowaniu pani Clemmens, chciałem się dowiedzieć szczegółów.

— Jakim sposobem wiadomość o tym fakcie doszła do pana?

— Wyczytałem ją w dziennikach.

— Przedtem jednak nie miał pan żadnych domysłów?

— Najmniejszych. Byłem wprost zdumiony i zaskoczony tym faktem.

— Więc zjawił się pan tutaj powodowany zwykłą ciekawością?

— Oczywiście.

Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na młodego człowieka, tak odpowiedzi jego były dokładne i stanowcze, a zachowanie się ujawniało wielką pewność siebie.

Teraz wystąpił dotor Fradwell.

— Dlaczego zameldował się pan w hotelu pod fałszywem nazwiskiem, panie Hildreth?

— Nie mógłbym tego wytłumaczyć — rzekł młody człowiek z lekkiem zmieszaniem. — Nie będąc znanym w mieście, wolałem nie zwracać uwagi na swoją osobę.

— Inaczej mówiąc, lękał się pan? — zawołał silnie koroner.

Słowo rzucone było bezwzględnie. Człowiek tak dumny i wrażliwy, jak Hildreth nie mógł ich lekceważyć.

— Nie zdaję sobie sprawy, abym doznał podobnego uczucia — rzekł, czerwieniąc się pod otrzymaną obelgą. — Co prawda, nie mogłem przypuszczać, że w ten sposób będę tutaj traktowany.

Ta replika, rzucona wyniosłym tonem, nie przeszła bez wrażenia. Doktor Fradwell spojrzał pytająco na sędziów przysięgłych, ci zaś wymownie kiwali głowami, naradzając się po cichu.

Jednakże młody człowiek zdawał się być coraz silniej przygnębionym przez zrozumienie niebezpiecznej pozycyi, w jakiej się znajdował. Nagle zdało się, że powziął jakieś postanowienie. Wyprostował się dumnie i spojrzał bystro na koronera.

— Panie! — wyrzekł — Nie oznajmił mi pan jeszcze, że uważa mnie pan za winnego, przynajmniej nie wyrzekł pan tego w słowach jasnych — ale widzę, że mnie pan podejrzywa i nie dziwię się temu wcale. Wyjaśnienia, jakie panu dałem, nie są jeszcze wystarczające, rozumiem to. Niechże się pan dłużej nie waha i każe mnie zaaresztować. Zważywszy podejrzenia na mnie ciążące, wyświadczy mi pan przysługę, wysyłając mnie przymusowo na salę sądową, gdzie będę miał możność wykazać jasno i dobitnie niewinność moją.

Jednakże władze sprawiedliwości nie mają zwyczaju postępować tak szybko i bez dłuższego zastanowienia. Badanie przeciągnęło się jeszcze czas jakiś, nie przynosząc zresztą decydującego odkrycia i śledztwo zakończyło się dnia tego, bez żadnych ważniejszych wypadków.

— Założę się, że Gordon Hildreth za dwadzieścia cztery godzin będzie zamknięty pod kluczem — pomyślał Byrd, opuszczając salę rozpraw. — Już teraz doprawdy nie wiem, co myśleć o tej tajemniczej sprawie.

Próba.

W gruncie rzeczy detektyw nie był przekonany o winie Gordona Hildreth. Miał on już nieraz sposobność zauważyć pewność siebie i brawurę, jaką przybierają niektórzy zbrodniarze, kiedy nadchodzi fatalna chwila, w której bronić się muszą wobec władz policyjnych. Jednakże Byrd, na którym zachowanie się świadka pozostawiło pewne wrażenie, zapytywał się, czy Hildreth nie jest przypadkiem ofiarą dziwnego zbiegu okoliczności raczej, niż cynicznym i rozmyślnym mordercą, za którego już ogólnie uchodził. Trzeba pozatem pamiętać, że Byrd miał specyalne powody do szukania winnego w innym zupełnie kierunku.

— Gdyby mi chociaż pozwolili byli interweniować według woli własnej i przekonania — mruczał z niezadowoleniem. — Nie ciążyłaby wówczas na mnie żadna odpowiedzialność, bo mógłbym wszystkich pozostawić własnemu losowi, nie mieszając się do sprawy. Jednakże byłoby zbrodnią pozostawić tego Hildreth'a, kiedy mógłbym tak łatwo zaprowadzić sąd na ślad inny zgoła.

Byrd wahał się jednak. Wahanie to wypływało może z uczucia podziwu, z jakiem zwracał się do miss Darnell i z podejrzeń, jakie uczuwał w jej kierunku. Dla tej przyczyny postanowił młodą dziewczynę poddać próbie, ażeby raz na zawsze przekonać się, czy ona nie była w posiadaniu jakiego faktu, tyczącego się zbrodni, a nieznanego policyi.

— Tak samo, jak Hildreth, miss Darnell może być ofiarą pozorów — myślał młody detektyw. — Nie chciałbym za nic w świecie, aby na nią spadły podejrzenia, które już obciążają tamtego.

Chodziło przedewszystkiem o to, aby wynaleźć powód możliwy do rozmówienia się z młodą dziewczyną. Trudności w tym względzie nie mogły odstraszyć Byrda. Udał się więc do pana Ferris, prosząc go o wynalezienie jakiegoś zlecenia dla pana Ormond. Prokurator dał mu natychmiast pewne papiery z nakazem oddania ich adwokatowi do rąk własnych.

Byrd bezzwłocznie więc udał się do willi pana Ormond.

— Czy mogę mówić z panem Ormond? — zapytał służącej, która mu przyszła drzwić otworzyć.

— Pan adwokat wyszedł — brzmiała odpowiedź.

Byrd nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia. — Okoliczności składały się według jego życzenia.

— W takim razie — odrzekł — może miss Darnell mogłaby mnie przyjąć na chwilę. Przychodzę z polecenia prokuratora pana Ferris.

— Miss Darnell jest trochę cierpiąca — odpowiedziała służąca, rzucając na Byrda kokieteryjne spojrzenie — ale pójdę zapytać się, czy może pana przyjąć.

Byrd niedługo czekał w gabinecie adwokata, dokąd go wprowadzono. Po upływie kilku minut ujrzał wchodzącą Beatryczę Darnell. — Blada była i przybita, a w oczach jej błyszczał silny niepokój.

— Pan Ferris obarczył pana poleceniem do mnie? — zapytała głosem, w którym brzmiał sztuczny spokój i obojętność.

— Prosił mnie, proszę pani, o oddanie tych papierów, a w razie gdybym nie zastał pana Ormond, komuś z jego rodziny. Pozatem życzył sobie, abym powiadomił panią o rezultacie śledztwa.

Byrd zauważył, że ręka miss Darnell wyciągnięta po papiery przy słowach tych zadrżała silnie.

— Czy odkryto coś ważnego? — zapytała spokojnie.

— Tak, proszę pani. Wiadomo już, kto jest mordercą pani Clemmens.

Mówiąc to, detektyw ogarnął młodą dziewczynę przeszywającem spojrzeniem. Próba udała się znakomicie.

Blada twarz miss Darnell, na której odbijały się głębokie ślady cierpienia i wewnętrznego niepokoju, przybrała trupio-siny odcień.

— To niemożliwe! — szepnęła, usuwając się na krzesło.

Ale ten upadek sił nie trwał długo. — Zapanowawszy ostatnim wysiłkiem woli nad sobą, miss Darnell zapytała głosem zmienionym, ale z zimną krwią, zdradzającą, do jakiego stopnia umiała swoje nerwy ujarzmić:

— Czy można wiedzieć, kogo posądzają o tę zbrodnię?

— Tak, proszę pani. Jest to osoba, której osobiście zależało bardzo na śmierci pani Clemmens... pan Hildreth z Chicago! — dodał Byrd po rozmyślnej chwili wahania.

Nie było to widocznie imię, którego miss Darnell spodziewała się usłyszeć, bo widoczne uczucie ulgi rozjaśniło jej twarz zmęczoną.

— Pan Hildreth? — powtórzyła wolno — Nie słyszałam o nim jeszcze!

— To całkiem naturalne! — odparł Byrd — Ten młody człowiek nie jest znanym w Sydney, dokąd przybył po raz pierwszy w dzień zamordowania pani Clemmens. Nie jest jeszcze ostatecznie stwierdzonem, ale ciążą na nim podejrzenia bardzo oskarżające.

— Doprawdy?

— Niech pani osądzi sama. Pan Hildreth znajdował się w Białym Domku w chwili zamordowania pani Clemmens. Utrzymuje, że stanął w przedsionku i nic nie słyszał, ani widział... Ale, że nie wykryto dotąd nikogo innego, uznano, że pan Hildreth jedynie mógł odnieść korzyści ze śmierci pani Clemmens.

Zdawało się, że miss Darnell dosłyszała tylko jedno zdanie z tego wszystkiego, co wypowiedział detektyw.

— Był w przedsionku? — zawołała przerywając — A cóż on tam robił?

— Zatrzymał się tam kilka minut po rozmowie, jaką miał z panią Clemmens. Potrzebował zastanowić się, tak przynajmniej utrzymuje.

— I będąc tam, nie spostrzegł niczego? To nie do uwierzenia!

— Twierdzi jednak, że tak było, ale przyznać muszę, że ciężko mu będzie wpoić to przekonanie w sędziów przysięgłych.

Miss Darnell nagle odwróciła głowę.

— A więc zaaresztowano tego pana Hildreth'a? — wymówiła bezdźwięcznym głosem.

— Jeżli obecnie jeszcze nie znajduje się w więzieniu, będzie tam jutro.

Zapanowała chwila milczenia. Młoda dziewczyna zwróciła się ku oknu, wpatrzona w dal.

— Czy on ma rodziców? — zapytała wkońcu.

— Dwie siostry podobno. Rodzice jego zmarli już dawno.

Miss Darnell wstała.

— Proszę mnie mieć za wytłumaczoną! — rzekła nagle — Nie czuję się bardzo zdrowa od paru dni, dlatego zapewne ten smutny wypadek wstrząsnął mną tak głęboko. Pozwoli pan, że pana opuszczę i dziękuję panu za szczegóły tak chętnie mi udzielone.

Byrd, zadowolony zupełnie z rozmowy, na której mu wiele zależało, skłonił się nizko przed miss Darnell i wyszedł.

Postanowienie.

Nazajutrz rano, w chwili kiedy pan Ferris zabierał się do przejrzenia codziennej korespondencyi, Byrd wszedł do jego gabinetu.

— Ah! Byrd, mój kochany — zawołał prokurator. — Jakże pan źle dziś wygląda. Czem mogę służyć? Ale przedewszystkiem powiedz mi, czyś nie chory?

— To nie, panie Ferris — odpowiedział detektyw. — Nie spałem całą noc, oto wszystko! Przychodzę zaś zapytać, co pan zamierza uczynić z tym panem Hildrethem. Podobno postanowił pan go zaaresztować!

— Tak jest. Co prawda nie posiadamy w rękach żadnego ważnego dowodu jego winy, ale pozory są tak obciążające dla niego, że z obowiązku mojego jestem zmuszony tak uczynić. Dodać jeszcze muszę, że każdy fakt nowy przyczynić się może do oskarżenia go jeszcze silniej.

— Jakto?

— Kiedy go pierwszy raz ujęto naprzykład, znaleziono przy nim pierścień. Przyznał się, że miał go na palcu w dzień zbrodni.

— Sciągnął go z palca wczoraj przy badaniu panny Farman — odpowiedział Byrd. — Widziałem sam, jak go chował do kieszeni.

— Pozatem Hickory, kolega pański z New-Yorku, zapewnia mnie, że pan Hildreth okazywał wielki niepokój podczas przesłuchiwania świadków w sali. Jego dziwne zachowanie zwróciło właśnie jego uwagę na niego. A przedtem przecież nie znał go wcale. W pewnej chwili nawet niepokój jego i rozdrażnienie wzrosło do takich rozmiarów, że Hickory czekał na jego wyjście ze sali, ażeby go zaaresztować pod jakimkolwiek pozorem.

— Czy ten Hickory wydaje się panu być człowiekiem inteligentnym — zapytał Byrd z zainteresowaniem.

— Owszem. Wygląda na człowieka, który rozumie to, co robi. Jego sposób zmuszenia Hildretha do zdeklarowania się, był dosyć zręczny.

— Chciałbym usłyszeć jego zdanie o całej sprawie, ale w ten sposób, aby się on nie domyślił mojej obecności — rzekł Byrd.

— To będzie łatwem do wykonania — odpowiedział pan Ferris — rzuciwszy przedtem pytające spojrzenie na spokojną i niewzruszoną twarz detektywa. — Oczekuję go tutaj lada chwila. Niech się pan ukrywa za tym parawanem i wysłucha naszej rozmowy.

Byrd zawahał się. Głęboka zmarszczka przecięła mu czoło.

— O co panu chodzi? — zapytał pan Ferris. — Nie zdaje się pan być zadowolonym z tej kombinacyi.

— Nie będzie to delikatnem w stosunku do kolegi — zauważył Byrd. — Ale sądzę, że pan nie weźmie mi tego za złe i uwierzy, że tylko bardzo poważne powody skłaniają mnie do tego kroku.

— Ależ oczywiście! Rób pan, jak uważasz za stosowne, kochany Byrd — zawołał pan Ferris, patrząc z życzliwością na młodego człowieka.

— Zabawię się więc w podsłępne podsłuchiwanie — zaśmiał się Byrd.

Szybko odsunął wskazany parawan i usiadł na niskiem krzesełku, oczekując przybycia „kolegi". Kilka minut upłynęło zaledwie, kiedy szybkie kroki rozległy się na korytarzu i ktoś dyskretnie do drzwi zapukał.

— Proszę wejść — zawołał pan Ferris.

— Czy pan jest sam, panie prokuratorze? Czy nie przeszkadzam panu? — zapytał Hickory, wsuwając się ostrożnie do pokoju.

— A, to pan! Wejdź pan! Wejdź! Czekałem na pana — odrzekł pan Ferris. — Cóż tam nowego od rana?

— Niema nic nowego — odparł nowoprzybyły poważnym głosem. — Od chwili, kiedy nasz człowiek jest pod kluczem, nie możemy się spodziewać nic nowego z tej strony. Przygotowałem więc swoją walizę i za pozwoleniem pana, panie prokuratorze, południowym pociągiem udam się do New Yorku i Chicago po nowe wiadomości.

— Tak? Cóż pan wyjechać? Czy pan jest zupełnie pewnym winy pana Hildretha?

Hickory zaprotestował ruchem ręki.

— Nie pozwoliłbym sobie na tak krańcowe przekonanie, panie prokuratorze. To nie wchodzi w zakres detektywa, tylko sędziów przysięgłych i prokuratora. Mogę tylko to powiedzieć, że dotąd okoliczności ułożyły się w ten sposób, że nie można mieć wielkich wątpliwości w tym kierunku. Zresztą sam więzień zdaje sobie dokładnie sprawę ze swojego krytycznego położenia. Przepędził całą noc bezsennie. Chodził bezustannie po celi, od ściany do ściany, jak zwierz zamknięty w klatce, lub też siedział na pryczy zamyślony, przybity, z twarzą ukrytą w dłoniach. Miał wygląd człowieka, który utracił już wszelkie nadzieje. Od czasu do czasu powtarzał: „Gdyby dziadek był to wiedział!" - Dziś rano za żądał przyborów do pisania. Kiedy uczyniono zadość tej prośbie, wystosował długi list do swoich sióstr, w którym błaga ich, aby wierzyły w jego niewinność. Daje im przytem pewne zlecenia, tak, jakgdyby nie wierzył już w powrót swój do życia. Jestem nawet niespokojny, bo lękam się, czy nie przemyśliwa nad jakim ostatecznym krokiem. Kazałem go dobrze pilnować i bezustannie mieć na oku.

Podczas kiedy detektyw wymawiał ostatnie słowa, dał się słyszeć z za parawanu szmer jakiś, który w innej okoliczności byłby zwrócił uwagę młodego człowieka. Ale Hickory tak był pewnym swojej sprawy, że wyrzekł się już zbytniej ostrożności i niedowierzania.

Bez wiedzy jednak z jego strony, ta lekka przerwa przerwała potok jego gorliwej elokwencyi.

— Przypuszczam, że pan prokurator pochwala mój zamiar wyjazdu — zapytał dobrodusznie.

— Ależ naturalnie. Porozmawiamy obszerniej po pana powrocie. Niech mi pan pozostawi swój adres, w razie gdybym potrzebował skomunikować się z panem. Jak długo zamierza pan tam pozostać?

— Dwa lub trzy dni najwyżej, panie prokuratorze. Oto mój adres w Nowym Yorku. Do Chicago zaś udawać się będę trzy razy dziennie, aby podjąć z poczty moją korespondencyę.

— To dobrze, panie Hickory, nie zatrzymuję pana więcej — rzekł pan Ferris. — Życzę szczęśliwego powrotu!

Detektyw z miną bardzo zadowoloną z siebie skłonił się przed prokuratorem i wyszedł z gabinetu.

Przecz kawaszy chwilę, z obawy, aby jeszcze nie powrócił, Byrd wysunął się z za parawanu.

— No i cóż Byrd? — zapytał pan Ferris. — Jakie jest pana wrażenie.

Młody człowiek nie odpowiedział, tylko zapytał ze swej strony:

— Czy pan Fradwell wyjaśnił panu, panie prokuratorze, że mógłbym łatwo interweniować w tej sprawie, o ile uważałbym to za potrzebne?

Pan Ferris przytaknął ruchem głowy.

Będę więc prosił pana prokuratora o uspokojenie pana Hildretha, że jeżeli nie popełnił zarzuconej mu zbrodni, nie potrzebuje się niczego obawiać na przyszłość. Jest człowiek, który od dzisiejszego dnia zajmie się tą sprawą i przysięga, że odkryje winnego, a powróci wolność niewinnie zasądzonemu.

— Jakto! — zawołał pan Ferris ze zdziwieniem. — Nie podziela więc pan zdania swojego kolegi w stosunku do Hildretha?

— Nie, panie prokuratorze.

— Ależ Byrd... zastanów się.

— Ten Hickory, to człowiek próżny i uparty. On to odkrył pana Hildreth'a i zwrócił na niego uwagę policyi i sądu. Dla niego Hildreth musi być winnym.

— Więc pan jest przekonania, że Hildreth jest niewinnym. Czy tak?

— Moje przekonanie nie jest jeszcze wyrobione. Ale to nastąpi wkrótce. Nie mówiłbym tego komu innemu, panie prokuratorze!

— Dlaczego?

— Dla kilku przyczyn. Najsamprzód, jak panu wiadomo, nie wolno mi pracować otwarcie. Jeżeli mam iść za śladem, który, jak mi się zdaje, jest już w moich rękach, muszę tak działać, aby nikt tego nie spostrzegł. Dla tej przyczyny, proszę pana o bezwzględne zawierzenie mi i pozwolenie działania na swoją rękę, aż do dnia, w któ ym będę mógł powiedzieć panu: „Mordercą jest ten lub tamten człowiek". Będę bardzo zdziwiony i zawiedziony, mówię szczerze, gdyby pan Hildreth grał w tem wszystkiem jaką rolę.

Zręczność detektywa.

W ciągu rozmowy swojej z miss Darnell Byrd rozmyślnie powstrzymał się od wymienienia nazwiska człowieka, którego w rzeczywistości uważał za mordercę pani Clemmens. Czuł, że wystarczyłaby aluzya najdyskretniejsza w kierunku siostrzeńca zmarłej, aby wywołać u młodej dziewczyny gest zdumienia lub okrzyk, mogący potwierdzić przekonanie, jakie sobie wyrobił.

Ale czuł odrazę do użycia podobnego środka względem miss Darnell. — A Byrd posiadał jedną wadę, którą naprożno starał się zwalczyć w sobie: od czasu do czasu człowiek światowy występował w nim, potępiając detektywa. Nie przeszkadzało mu to jednak zachować wobec Cyryla Morgan poważnego podejrzenia. — Jednakże będąc człowiekiem skrupulatnym i sumiennym, chciał Byrd skontrolować i wzmocnić te swoje podejrzenia.

Przedewszystkiem więc chodziło o przekonanie się, czy miał słuszność, biorąc za Morgana młodego człowieka, którego widział z miss Darnell w porze kalni w Syrakuzie. Następnie wyszukał sposób wykrycia śladu, mogącego stwierdzić obecność Cyryla Morgan w Sydney w dniu zbrodni.

Przed zajęciem się jednakże tymi dwoma ważnymi punktami, detektyw udał się jeszcze do Białego Domku w celu ostatecznego przekonania się, w jakich okolicznościach zbrodnia na pani Clemmens dokonaną została.

Po tym nowym przeglądzie wydało mu się jasnem, że, aby odsunąć hypotezę winy pana Hildreth'a — trzeba było przypuścić, iż morderca znajdował się już w Białym Domku, kiedy młody człowiek tam się udał.

Domek pani Clemmens posiadał trzy wyjścia: drzwi główne, otwierające się do przedsionka w którym pan Hildreth zatrzymał się po rozmowie z wdową; drzwi od kuchni, przez które nikt wejść ani wyjść nie mógł, nie będąc widzianym przez włóczęgę — wkońcu drzwi jadalni wychodzące na ogród ze strony przeciwnej. Drzwi te umieszczone były w ten sposób, że gdyby nawet uszły uwagi Hildreth'a i włóczęgi — to pani Clemmens z miejsca, w którem stała, zajęta nakręcaniem zegara, musiała dostrzedz obecność napastnika, wciskającego się do domu tem wejściem.

W ostateczności można było przypuścić, że morderca wszedł przez drzwi kuchenne po odejściu włóczęgi, ale tyle okoliczności sprzeciwiało się tej hypotezie, że nie można jej uważać za prawdopodobną. Narzucało się więc pewność, że morderca musiał znajdować się w kuchni lub też w pokoju jadalnym w chwili, kiedy pani Clemmens opuściła salon, aby przyjąć Hildretha.

Inny punkt był również rozjaśniony; morderca, przypuszczając ciągle, że nie był nim oskarżony, mógł tylko po dokonaniu faktu uciec w stronę lasu. Zapewne, przebyć musiał trzęsawiska niebezpieczne, zanim dotarł do miejsca, gdzie ukryć go mogły gąszcza drzew. Na przestrzeń tą, o ile to był człowiek silny, wystarczyć mogło pięć minut czasu. Szybki rachunek wystarczył, aby przekonać Byrda, że upłynęło więcej czasu od chwili, w której pani Clemmens została napadniętą, a chwilą, kiedy pan Ferris otworzył drzwi od pokoju jadalnego w celu skonstatowania położenia.

Doszedłszy do tego wyniku, detektyw postanowił sam doświadczyć, w jak krótkim czasie zdoła dobiedz do skraju lasu i wybadać, w jaki sposób można było wydalić się ze Sydney, nie będąc spostrzeżonym przez nikogo.

Zadanie to w wykonaniu okazało się trudniejszem, niż się spodziewał. Teren za domem składał się z małych wysepek, przedzielonych głębokimi moczarami, gdzie detektyw zapadał kilkakrotnie prawie po kolana. W tych warunkach Byrd, zmuszony wybierać drogę możliwą do przejścia i okrążać, skonstatował, że potrzebował blizko siedm minut do przejścia przez trzęsawiska i dojścia do pierwszych drzew lasu. Od tego miejsca bieg był już ułatwiony tembardziej, że wkrótce odkrył ścieżkę wychodzącą na polankę, w głębi której znajdowała się niewielka szopa, opuszczona przez węglarzy.

Jedno bystre i ostrożne spojrzenie, rzucone w tym kierunku, pozwoliło detektywowi przekonać się, że szopa była pusta. Na razie zaprzestał dalszych badań, chcąc się przedtem przekonać dokąd wiodła ścieżka, którą przybył. Wyszedłszy z lasu po dobrej pół godzinie marszu, detektyw spostrzegł ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, że znajduje się na głównej drodze, prowadzącej do Sydney. Zamiast przeciąć las w prostej linii, tak, jak się tego spodziewał, ścieżka zataczała znaczne półkole.

O jakie sto kroków od miejsca, w którem się znajdował, Byrd dojrzał tor tramwajowy,ginący pomiędzy mieszczańskimi domami przedmieścia.

Słyszał już o tej arystokratycznej dzielnicy zwanej West Ridge. Zwrócono mu uwagę na malowniczy widok Sydney, obserwowany z wysokiej góry, tworzącej jakoby kopca i z obserwatoryum astronomicznego, urządzonego na dachu willi profesora Darlinga.

Z drogi, którą podążał Byrd, widział całe miasteczko przytulone w dolinie, bardzo nizko położonej. Po lewej stronie ciągnęły się wzgórza pokryte lasem, które przed chwilą przebył, a naprzeciw, w oddali wiła się szeroka rzeka, nad którą wznosił się most kolejowy. Byrd rozpoznawał park miejski, dzwonicę kościelną i czworoboczny budynek Pałacu Sprawiedliwości. Zdawało mu się nawet, że dojrzał czerwony dach Białego Domku pani Clemmens. Przeciągły gwizd oznajmił mu nagle odejście tramwaju. Otrząsnął się szybko z zamyślenia i skoczył do ruszającego już wozu.

Byrd udał się aż do końca toru tramwajowego, dochodzącego do dworca o jakie dwa kilometry od miasta.

— Zdaje mi się — myślał detektyw, powracając do swojego hotelu — że posłużyłem się tą samą drogą, jaką wybrał morderca, oddalając się z Białego Domku. Teraz coraz mniej zaczynam wierzyć iż był nim Gordon Hildreth. Ale jeżeli nie on, to któż?

Drażniąca sylwetka miss Beatryczy Darnell stanęła nagle przed jego oczami, ale siłą woli odepchnął ją od siebie, szepcząc rozpaczliwie:

— Nie, nie! To niemożliwe! Nie spocznę, aż rozwiążę tę męczącą mnie zagadkę.

Cyryl Morgan.

Rafinerya „Harrison i Chamberlain" mieściła się w olbrzymich budynkach przy jednej z największych ulic w Buffalo. Zatrudniała ona niezliczoną liczbę robotników.

Nazajutrz po wycieczce swojej do lasów Sydney, Byrd stał na posterunku w blizkości fabryki, w godzinie, w której kończyły się prace i czekał na nadejście Cyryla Morgan. Nie znał go jeszcze, ale z opisu, jaki mu uczyniono, sądził, że łatwo rozpozna w nim młodego człowieka, towarzyszącego miss Darnell na dworcu w Syrakuzie. Przez czas dłuższy bacznie obserwował wszystkich mężczyzn, wychodzących z fabryki, nie znajdując w nich żadnej analogii z tym, którego urzeć pragnął.

Chciał już zrezygnować i oddalić się, kiedy brama otworzyła się po raz ostatni, dając przejęcie dwom panom. Młodszy z nich zwrócił natychmiast uwagę detektywa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Rada Stanu do Legionów polskich i do Departamentu wojskowego.

Rada Stanu wysłała do Komendy Legionów Polskich pod datą 1 marca pismo następujące:

„Tymczasowa Rada Stanu z głęboki m uczuciem radości przyjęła adres Komendy Legionów polskich. Szczęśliwi jesteśmy, że bohaterskie pułki Legionów, pod naszą przechodzą opiekę, staną się kadrami narodowego wojska. Hojna ofiara młodego życia, w walce z śmiertelnym wrogiem składana — bojowników o wolność krwawy obowiązek, od zarania wojny tak chwalebnie spełniany — nową dla naszego życia przygotowały epokę.

Odtąd władza państwowa polska stać będzie za polskim żołnierzem, na którym spocznie szczytny obowiązek obrony i utrwalenia granicy wolnej Ojczyzny.

W zespoleniu wszystkich sił młodego państwa polskiego dla twórczej pracy wojskowej, w oparciu się na dotychczasowych tradycyach wojennych Legionów polskich, Tymczasowa Rada Stanu widzi niewzruszoną rękojmię bytu i rozwoju polskiej armii narodowej.

Marszałek koronny *W. Niemojewski* m. p.
Sekretarz Tymczasowej Rady Stanu:
Artur Śliwiński m. p.“

Departament Wojskowy N. K. N. otrzymał następujący adres:

„Tymczasowa Rada Stanu z głębokiem uznaniem przyjęła adres Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego, wyrażający poddanie się pierwszej Władzy Państwowej Polskiej i witający jej powstanie.

W nadziei, że w najbliższym już czasie bohaterskie Legiony Polskie na narodową przekształcą się armię — żywimy głęboką wiarę, że państwo polskie swojemu wojsku warunki pełnego rozwoju zapewni, a dla chwały i blasku oręża polskiego najwyższe poniesie ofiary.

Marszałek koronny *W. Niemojewski* m. p.
Sekretarz Tymczasowej Rady Stanu:
Artur Śliwiński m. p.“

Odpowiedź Austro-Węgier Stanom Zjednoczonym.

Na wystosowaną przez Stany Zjednoczone do Austryi notę w sprawie walki łodziami podwodnemi, c. i k. minister spraw zagranicznych dnia 5. bieżącego miesiąca wręczył ambasadorowi Stanów Zjednoczonych w Wiedniu odpowiedź. O treści tej odpowiedzi c. k. Biuro korespondencyjne donosi:

„Z „Aide M moire“ amerykańskiego ambasadora w Wiedniu z dnia 18. lutego b. r. poznało c. i k. ministerstwo spraw zagranicznych, że gabinet waszyngtoński wobec oświadczeń, złożonych przez c. i k. rząd dnia 10. lutego z. r. i dnia 31. stycznia b. r., podnosi wątpliwość co do tego, jakie stanowisko Austro-Węgry, przy prowadzeniu wojny łodziami podwodnemi, nadal zamierzają zająć, i czy zapewnienia, jakich c. i k. rząd udzielił gabinetowi waszyngtońskiemu w ciągu rokowań co do wypadków z okrętami „Ancona“ i „Persia“, przez wymienione oświadczenia nie zostały trochę zmienione albo cofnięte“.

Otóż c. i k. rząd austro węgierski wręczył ambasadorowi Stanów Zjednoczonych memoryał, w którym daje odpowiedź na życzenie rządu Związkowego, aby te wątpliwości usunięte zostały przez ostateczne i jasne oświadczenie.

Swoje wyczerpujące dowody reasumuje c. i k. rząd autro węgierski w końcowych ustępach swojego memoryału, wedle relacyi c. k. Biura korespondencyjnego, w sposób następujący:

„Po wszystkiem, co z początku tego memoryału powiedziano, nie potrzeba chyba zapewniać, że odcięcie obszarów morskich, przytoczonych w oświadczeniu, bynajmniej nie służy temu celowi, by gubić lub choćby tylko narażać życie ludzkie, lecz — po minąwszy już wyższy cel: skrócenia wojny, a przez to oszczędzenia ludzkości dalszych cierpień — zadaniem tego odcięcia jest: Wielką Brytanię i jej sprzymierzeńców, którzy, nie zdoławszy przeprowadzić prawnie skutecznej blokady wybrzeży państw centralnych, przeszkadzają stosunkom morskim neutralnych z temi państwami, w ten sam sposób izolować i przez ten nacisk uczynić ich skłonnymi do zawarcia pokoju, dającego rękojmię trwałości.

Ze Austro Węgry posługują się przy tem innymi środkami wojennymi, niż przeciwnik, to wypływa z okoliczności, nad któremi ludzie żadnej władzy nie mają. C. i k. rząd jest jednak świadom tego, że uczynił wszystko co mógł, aby uchylić straty w życiach ludzkich. C. i k. rząd cel swój, zamierzony przez zamknięcie państw zachodnich, osiągnąłby najprędzej i najpewniej, gdyby na tych częściach morza wogóle ani jedno życie ludzkie nie ginęło i ani jedno nie narażało się na niebezpieczeństwo.

Reasumując, c. i k. rząd może stwierdzić, że swojemi oświadczeniami z 10 lutego 1916. i 31. stycznia 1917. ani nie zniósł, ani nie ograniczył przyrzeczeń, danych gabinetowi waszyngtońskiemu z okazyi wypadków z „Anconą“, a odnowionych z okazyi wypadku z „Persyą“. W ramach tych przyrzeczeń rząd wraz ze swoimi sprzymierzeńcami i nadal wszystkich sił dołoży, aby narodom świata znowu przywrócić błogosławieństwa pokoju. Jeżeli, dążąc do swego celu — który, jak c. i k. rządowi wiadomo, jest także dla gabinetu waszyngtońskiego bardzo sympatycznym — rząd widzi się zmuszonym także neutralną żeglugę w pewnych okolicach morskich odciąć, to dla umotywowania tego zarządzenia c. i k. rząd nie tyle powołuje się na postępowanie przeciwników, które bynajmniej nie wydaje mu się godnem naśladowania, lecz raczej na to, że Austro Węgry, wskutek zaciętości i nienawiści swoich nieprzyjaciół, dybiących na ich zniszczenie, znalazły się w stanie koniecznej obrony, dla którego historya nie zna tak typowego przykładu.

Jak c. i k. rząd czuje się podniesionym na duchu przez świadomość że walka, którą Austro-Węgry prowadzą, służy nie tylko ku ochronie ich własnych interesów, lecz także ku urzeczywistnieniu idei takiego samego prawa dla wszystkich państw, tak z drugiej strony, w tej ostatniej, najcięższej fazie wojny, kładzie na to nacisk, ażeby słowem i czynem zawiadczyć, że przyświecają mu zarówno zasady ludzkości, jak przykazanie szacunku dla godności i interesów narodów neutralnych“.

Wilson o żądaniach amerykańskich.

Z okazyi rozpoczęcia drugiego okresu swej prezydentury prezydent Wilson wystąpił z nową enuncyacyą, w której między innemi oświadczył:

„Od początku wojna wycisnęła piętno na naszym duchu, naszym przemyśle, naszem działaniu i na naszej polityce. Było niemożliwem zająć stanowisko obojętne i niezawisłe. Mimo wielu różnic w zapatrywaniach, zbliżyliśmy się mimo woli z naszą nawzajem. Na morzu zadano nam wielki gwałt. Nie pragnęliśmy nań odpowiadać gwałtem i obelgą. Chociaż niektóre z zadanych nam gwałtów były nieznośne, zawsze świadomi byliśmy tego, że niczego nie pragniemy dla siebie samych, czego nie bylibyśmy gotowi domagać się także dla całej ludzkości, mianowicie uczciwego po tępowania, sprawiedliwości, wolności życia i ochrony przed zorganizowanem bezprawiem. Z tą myślą idąc, dochodziliśmy coraz bardziej do przekonania, że naszem zadaniem musi być praca dla utrzymania i wzmocnienia pokoju. Musieliśmy się uzbroić, aby przeforsować nasze pretensye co do pewnego minimum prawa i swobody działania. Stoimy silnie w zbrojnej neutralności, ponieważ zdaje się że w żaden inny sposób nie możemy wyrazić tego, przy czem obstajemy i z czego zrezygnować nie możemy. Jest przecież rzeczą możliwą, że wskutek okoliczności zniewoleni będziemy do czynnej obrony naszych praw i do nieco bezpośredniejszego udziału w wielkiej walce. Nic jednakże nie zmieni naszych idei i naszego celu. Nie pragniemy ani zdobyczy, ani korzyści. Nie pragniemy niczego, co może być osiągnięte tylko kosztem innego narodu. Nie jesteśmy już prowincyonalistami. Tragiczne wydarzenia tych miesięcy, walka na życie i śmierć, uczyniły z nas obywateli świata. Cofnąć się nie możemy. Los nasz, jako narodu, uchodzi tu w grę.

Oto, czego domagać się będziemy:

By wszystkie narody miały równy interes w pokoju światowym i w politycznej trwałości wolnych ludów i by w jednakiej mierze były za to odpowiedzialne;

by najważniejszą zasadą pokoju była rzeczywista równość wszystkich ludów we wszystkich kwestyach prawnych;

by pokój nie opierał się na pozornej równowadze prawnej, gdyż taka podstawa nie jest pewna;

by rządy wszelką sprawiedliwą władzę czerpały ze zgody rządzonych;

by morza były wolnemi i pewnemi na równi dla wszystkich narodów wedle ustaw, ustalonych wspólną umową;

by zbrojenia ludów były ograniczone do potrzeb wewnętrznego porządku jednego narodu i domowego bezpieczeństwa i

by obowiązkiem każdego narodu było dbać o to, żeby wszelkie próby wspomagania rewolucyi w innych krajach były ostro i skutecznie tłumione i by jej zapobiegano.

Te zasady zgodnie wyznajemy, a jedność tę zahartuje w nas płomień, w którego żarze, wolni od partyjności i niezgody, zjednoczymy się zarówno w pojmowaniu naszego obowiązku, jak i we wzniosłej decyzyi wypełniania go. W obliczu wszystkich ludzi chcemy poświęcić się temu wielkiemu zadaniu, do którego teraz przystąpić musimy.“

W sprawie rozwiązania N. K. N.

W sprawie zamierzonego rozwiązania Naczelnego Komitetu Narodowego departament organizacyjny ogłosił następujący komunikat:

„Wobec mylnych, a jednak uporczywie rozszerzanych pogłosek, iż Naczelny Komitet Narodowy został rozwiązany, departament organizacyjny N. K. N. przedstawia następujący stan faktyczny:

Rozwiązanie N. K. N. może nastąpić wówczas, gdy główne jego zadanie, to jest polityczna, finansowa i wojskowa organizacya Legionów polskich zostanie spełniona. Wobec tego, że Tymczasowa Rada Stanu zamierza przystąpić do utworzenia armii polskiej, której kadrami będą Legiony, a tem samem zadanie główne N. K. N. przejdzie na Tymczasową Radę Stanu, postanowiła komisya wykonawcza N. K N. przygotować wszystko, co na ten wypadek będzie potrzebne i wybrała subkomitet, który ma obmyślić szczegóły. Skoro ta czynność przygotowawcza będzie skończona, przedstawi N. K. N. temu zgromadzeniu, które go do życia powołało (16. sierpnia 1914 roku), a w dniu 29. kwietnia 1916 roku uzupełniło — to jest posełskiemu Kołu sejmowemu, stosowne wnioski, a od decyzyi Koła sejmowego zależeć będzie rozwiązanie lub utrzymanie N. K N. Dopóki to nie nastąpi, spełnia N. K. N. i spełniać będzie cały zakres dotychczasowych czynności i utrzymuje wszelkie dotychczasowe agendy“.

Zniesienie kary słupka w armii austryacko-węgierskiej.

Dziennik rozporządzeń dla armii i floty przynosi następujące rozporządzenie:

Rozkaz do armii i floty!

Ufając zawsze okazywanej karności i wypróbowanemu w ciężkich czasach wojny świetnemu duchowi moich dzielnych sił zbrojnych, czuję się spowodowanym do zniesienia kary słupka (Anbinden).

Baden, dnia 2. marca 1917 r.

Karol w. r.

Bilans wojny podwodnej.

Jak donoszą z Hagi, według tamtejszych obliczeń pojemność okrętów, zatopionych przez łodzie podwodne w lutym, oceniają na 700.000 ton.

Sympatyczny gość na scenie krakowskiej.

(Do illustracyi na str. 10).

Sympatyczny gość zawitał do Krakowa. Zaproszony na szereg gościnnych występów przez dyrekcyę teatru krakowskiego, odnowił dawne nici sympatyi z miłośnikami teatru w Krakowie, znakomity artysta dramatyczny, reżyser i tragik sceny lwowskiej pan Roman Zelazowski.

Kraków ma dobrze w pamięci jego działalność artystyczną. Były kierownik artystyczny sceny krakowskiej za czasów Koźmiana, p. Zelazowski zapisał się trwale w historyi teatru krakowskiego. To też publiczność krakowska serdecznie powitała gościa, który w swej długiej karyerze artystycznej był filarem wszystkich większych scen polskich, a między innemi i w Warszawie, jako główny reżyser teatrów rządowych.

Pan Zelazowski, po paru latach przerwy, przypomniał się publiczności krakowskiej szeregiem świetnych ról, jakie odtworzył, a między innemi swą popisową kreacyę Otella.

Kronika tygodniowa.

Kronikarz może się znaleźć czasem w bardzo niemiłem położeniu, zwłaszcza zaś wtedy, gdy się nie może wygadać. Sądzę, zwłaszcza Szanowne Czytelniczki przyznają mi racyę.

Coś podobnego przydarzyło mi się w ubiegłym tygodniu. Rozpisałem się zanadto o owych najnowszych wynalazkach, mających pchnąć wojnę na inne tory i doprowadzić już raz do rozstrzygnięcia, by spełniły się przepowiednie polityków, iż pokój będzie zawarty przed jesienią (daj Boże, aby w tym roku!... przyp. zecera), nie mogłem przecież zakończyć tak, jak pragnąłem, gdyż pan metrampaż z energią, godną lepszej sprawy, założył znów swoje *veto* i oświadczył, że brak miejsca. Prosiłem i błagałem, by pozwolił choć na maleńki ogonek, oświadczył, że „ogonków" ma już za dużo, że mu bokiem wyłażą, więc się nie zgadza.

Chodziło mi głównie o to, by uczcić należycie pomysłowych wynalazców i, skoro nie mogę ich zaproponować do nagrody Nobla, dać im w inny sposób dowód rzetelnego uznania za ich pracę dla dobra współbraci. Miałem mianowicie zamiar ogłosić subskrypcyę na zakupienie dla każdego z nich po bochenku chleba (bez karty) lub parze trzewików (póki nie ustanowią cen maksymalnych na obuwie), tego bowiem rodzaju nagrody są dziś najbardziej pożądane. Pewien jegomość na bardzo wysokiem stanowisku społecznem, nie tak dawno temu, chcąc znajomej pani sprawić przyjemność, zamiast zwykłego bukietu róż lub fiołków, ofiarował jej kilogram prawdziwej wędzonki i spotkał się za ten czyn z uznaniem i pochwałą.

Nie jest to odosobniony wypadek. Czytaliśmy niedawno, iż dyrektor teatru otrzymał pakiet pięciokilowy cukru od swych przyjaciół, znakomity aktor bochenek chleba, a koleżanka jego, ulubienica publiczności... parę zelówek. Ostatnie telegramy donoszą nadto, iż w pewnem większem mieście na Morawach, artystka-amatorka, która występowała tam gościnnie, jako honoraryum za bardzo udałe przedstawienie otrzymała: dwa kilogramy masła, kilogram mąki, sześć kiełbas płucnych, sześć krążków innej kiełbasy, kopę jaj, cztery kilogramy „nulki", kilogram mieszaniny, dwa kilogramy grochu, dwadzieścia kilogramów ziemniaków, kilogram soczewicy i bochenek białego chleba!

Wynagrodzenie, iście książęce... I powiadają ludzie, a nawet o tem piszą, że Galicya jest rajem, opływającym we wszystko, pokazuje się przecież, że na Morawach nie jest gorzej, jeżeli można sobie pozwolić na takie zbytki. Nie dodano jednak, czy artystka otrzymała pozwolenie, by to wywieźć z danej miejscowości.

Gdym o tem opowiedział mojej poczciwej Weronisi, westchnęła tylko żałośnie i rzekła, prawie ze łzami w oczach:

— Że też ty nie zbierasz takich dowodów uznania!...

Westchnąłem i ja, ale na tem się tylko skończyło. Obydwoje łykaliśmy ślinkę, umyślnie więc powtarzam to na tem miejscu, by w ten sposób sprawić przyjemność i P. T. Czytelnikom. Kto ma ochotę, niech także ślinkę łyka, wolno się nawet oblizać, ale tak, by nikt nie widział. Dziś już takie czasy, że nie można wobec innych użyć wykałaczki do zębów, gdyż świat gotów powiedzieć, że żyje się nad stan i chce się w ten sposób imponować innym.

Z drugiej znów strony jestem zupełnie kontent, iż tego rodzaju dowodów uznania, jak wyżej wymienione, nie zbieram, łatwo bowiem mógłbym wejść w kolizyę z komisyą „wąchającą", która bada od czasu do czasu zapasy po domach. Wieść o pojawieniu się jej w której z dzielnic Wielkiego Krakowa wywołuje wśród gospodyń popłoch i przerażenie, czego dowodem była interpelacya w Radzie miejskiej, postawiona przez jednego z ojców naszego grodu. Brzmiała podobno w ten sposób:

— Żona moja kazała mi zapytać się pana prezydenta, z czyjego polecenia chodzą komisye, badające po domach zapasy i co pan prezydent myśli zarządzić, by to nadal miejsca nie miało?

Pokazuje się z tego, że nie mieć zapasów jest źle, mieć je, jeszcze gorzej, nie tylko bowiem można je stracić, ale nadto wejść w konflikt z władzą i narazić się na grube nieprzyjemności.

Rezygnuję więc z podobnego uznania mych kronikarskich zasług, jakie spotkało ową morawską artystkę-amatorkę, choć nie gniewałbym się wcale, gdyby jakaś litościwa dusza obdarzyła mnie na przykład parą porządnych trzewików (oczywiście nie na drewnianych podeszwach!...), zwłaszcza, że niewyśledzony dotąd złoczyńca pozbawił mnie ostatniej pary porządnych kamaszków. Może powiedzieć o sobie, iż trafił mnie w samą piętę Achillesową. Nie wątpię, że przejdzie on nawet do historyi, gdyż mój biograf, w ewentualnie napisać się mającym mym życiorysie niezawodnie o tem wspomni, by potomność wiedziała, z jakimi kłopotami i z jakiemi trudnościami miał kronikarz do walczenia w tych „brzemiennych w wypadki" czasach. Sam sobie nowego obuwia nie sprawię, chyba dopiero po wejściu w życie rozporządzenia ministra handlu, regulującego ceny jego i produkcyę, co ma nastąpić podobno w dniu 10-go kwietnia. Na razie boję się stykać nawet z mistrzami sławetnego kunsztu szewskiego, gdyż poprzysięgli mi zemstę za wzmiankę o nich w poprzedniej kronice.

Gdybym bodaj miał pewność, że wiosna się już zbliża, nie robiłbym sobie nic z tego, zdaje się przecież, że na pierwszy jej podmuch długo jeszcze czekać przyjdzie. Much nie widać, tych jej prawdziwych zwiastunek, śnieg kryje ziemię i ciągle się zwiększa, nawet mrozy nie ustają. Pokazało się, że moi łyskowie mnie zawiedli, przypuszczam, iż chyba któryś w międzyczasie kupił sobie perukę, o czem ja nie wiem, albo z dobrym skutkiem używał niezawodnej maści na porost włosów... Zestawiam więc nową dwunastkę, a jeśli i to nic pomoże, przestaję wierzyć we wszelkie proroctwa i przepowiednie.

Nie pisałbym o pogodzie i temperaturze, bo i cóż to może kogo obchodzić, skoro jednak nasze pisma polityczne poświęcają im naczelne miejsce w kronice, ciekawy jestem, dlaczego miałbym być gorszym od mych kolegów po piórze i nożycach?... Ze względu na owo „bezbucie" i sprawy aprowizacyjne pogodą i temperaturą zajmuję się więcej nawet, niż zaostrzoną walką łodziami podwodnemi. Posiadam u siebie w domu termometr i barometr, oba instrumenty pierwszej klasy, niestety, często zawodzące. Zwłaszcza termometr raz w lecie, gdy słońce stało bardzo wysoko i prażyło, co się zmieści, spadł z gwoździa na samą ziemi;, no... i stłukł się. Najlepszym przecież barometrem są moje własne kolana, przepowiadające zmianę na długi czas naprzód. I teraz mówią mi, że pogoda się odmieni, spodziewać się więc chyba należy wiosennej odwilży, chyba że... bo niespodzianki, jak się już rzekło, nie są bynajmniej wykluczone

Ale dajmy spokój pogodzie, gdyż na politykę brakłoby znowu miejsca, a z panem metrampażem „nie da rady", zwłaszcza teraz, gdy znajduje się on w przededniu „musterunku". Biedaczysko kłopoci się, gdyż nie wie, czy go wezmą, czy nie. Wolałby, zdaje się, „nie", choć z drugiej strony wstyd go żona wobec płci nadobnej, która może łatwo powiedzieć:

— Co, to ma być mężczyzna?... Nawet do landszturmu niezdatny!

Ze spraw politycznych mam zaś obowiązek poruszyć w pierwszej linii namyślanie się Ameryki, co ma zrobić, wypowiedzieć wojnę Niemcom, czy nie? — Na razie podobno zbroją Stanarze swoje okręty handlowe i urządzają patryotyczne manifestacye celem podniesienia ducha i zyskania kredytów wojennych, sufrażystki natomiast przycupnęły i nic o nich jakoś nie słychać. Być może odezwą się, gdy przyjdzie czas. Co do samego pana Wilsona, owego byłego anioła pokoju, to z bólem serca wspomnieć należy, iż zachorzał i musiał z polecenia żony i lekarzy położyć się do łóżka, gdzie oczekuje rozwiązania. Proszę sobie tego źle nie tłumaczyć, mam bowiem tylko rozwiązanie politycznych kwestyi na myśli, a nie żadne inne.

Ogólna ofenzywa jest podobno już w przygotowaniu, choć coś tam na zachodnim froncie popsowało się Anglikom, tak, iż na nowe przygotowania potrzebują jeszcze dodatkowo około dwu miesięcy, więc z tego powodu nie mogłaby się już nazywać „wiosenną", ale chyba „letnią". A ma ona być bardzo energiczną i podjętą równocześnie na wszystkich frontach. Włosi dziś już wspominają o marszu Moskali na Kraków. Widocznie po konferencyi wspólnej w Petersburgu i Calais spuścili z tonu, dotąd bowiem zawsze celem ich był co najmniej Wiedeń lub Berlin. Widocznie zmienili oryentacyę, co się także czasem zdarza. Cała ich nadzieja teraz w Chinach, które koalicya stara się wszelkiemi siłami wciągnąć w spółkę i obiecuje złote góry, jeżeli zechcą zerwać z Niemcami stosunki dyplomatyczne. A oni sami nie wiedzą, co robić. Propozycya i obietnice nęcą ich, co prawda, ale z drugiej strony obawiają się też trochę, gdyż wówczas stracą i tą resztkę wolnej woli, jaką jeszcze mają i będą zmuszeni przejść w zupełności pod komendę Anglii, a temsamem może łatwo sprawdzić się na nich stare przysłowie: „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły".

Czy jaki wpływ na sytuacyę mieć będzie utworzenie zapowiedzianej floty szwajcarskiej, dotąd nie wiemy. Na razie będzie to zapewne tylko flota handlowa. Admirał szwajcarski, znany dotąd tylko z operetki, stanie się wówczas rzeczywistością.

O Meksyku nie mogę nic powiedzieć, wobec czego odkładam ten punkt porządku dziennego na późniejsze czasy, gdy się sprawa wyklaruje. Pisałem w tej sprawie do tamtejszego prezydenta, załączyłem nawet markę na odpowiedź, ale dotąd jej nie otrzymałem. Gdyby przypadkowo zdarzyło się tam coś ważnego, dowiedzą się o tem Czytelnicy z pism codziennych, a i ja to może powtórzę, jeśli *nota bene*, będzie na to zasługiwało. Jest to w każdym razie kwestya drugorzędnego, a może nawet trzeciorzędnego znaczenia. Z Meksykiem nie liczył się nikt zbytnio i nie liczy, nawet wmieszanie się jego we walkę szali zwycięstwa na żadną stronę nie przechyli.

To jest kwintesencya polityki z ubiegłego tygodnia. Omawia się ją w knajpkach przy cienkiem a drogiem piwku, nie wiem, dlaczego nazywającem się „pilznerem" i puszczając wonne dymki, przypominające swym zapachem, także nie wiem czemu, zeszłoroczne kasztany. Być może, iż rzeczywiście one to stanowią ów wojenny surogat tytoniowy, zapowiedziany swojego czasu w orędziu do narodu. Zapytywałem o to pewnego radcę skarbowego i znajomego funkcyonaryusza z fabryki cygar, obaj zasłonili się tajemnicą urzędową, wobec czego więcej na nich nie nalegałem. Cygara, papierosy i tytoń są przecież tak teraz drogie, iż nikt nie powinien narzekać, że nie smakują mu, wiadomo bowiem, że „co drogie, to dobre". Tak nas przynajmniej uczyli nasi ojcowie.

Aby to trzecie z rzędu rozmyślanie wielkopostne było naprawdę żałosnem, pozwolę sobie powtórzyć za „*Kuryerkiem*" rzecz o protekcyi, będącą, zwłaszcza u nas, zawsze na czasie. Plagę protekcyonizmu odczuwają u nas przedewszystkiem ludzie na wyższych stanowiskach i zamożni, mający znaczenie i stosunki. Rzeczywiście trudno nieraz oprzeć się prośbom przyjaciół, błaganiom pięknych pań, często łzom... Święta prawda!... Sam kronikarz był nieraz już w tem nieprzyjemnem, a przecież czasem i przyjemnem położeniu.

Na dobry sposób wpadł jednak prezydent miasta Warszawy, książę Lubomirski. Jako antidotum na protegujących ma na biurku tabliczkę, na której wypisano:

„Kto protekcyę chce zwalczać, nie może sam jej stosować".

I w danej chwili posługuje się nią książę prezydent, co podobno odnosi zwykle skutek.

„Przykład prezydenta Warszawy godny jest naśladowania także — gdzieindziej..." kończy *Kuryerek* i dodaje trzy kropki. Czytelnik niech sobie resztę w duszy sam dośpiewa!..

Kronikarz dośpiewał już sobie i dla rozweselenia smutnych P. T. Czytelników powtarza bajeczkę, którą słyszał niedawno:

Raz prowadzono przez ulicę osła. Jest to zwierzę, jak wiadomo z zoologii, bardzo uparte i zawsze chcące postawić na swojem. Tak się i wówczas działo. Przewodnik chciał, by osioł szedł naprzód, ten znów miał inne zamiary, wobec czego nie mogli się w żaden sposób pogodzić. Osioł wierzgał, przewodnik, nie widząc policyanta, bił batem, ale to nic nie pomogło. Osioł postanowił nie zmienić tak prędko oryentacyi. Gdy mu było już zadużo, wyrwał się z rąk przewodnika i w figlarnych podskokach podążył prosto w drzwi poważnego budynku, gdzie mieściła się pewna instytucya. Tutaj dostał się na podwórze, na które wychodziło także okno, a z niego wyglądało, paląc papierosy, dwu urzędników tej instytucyi, nie wiedząc, w jaki inny sposób zabić czas urzędowania. Gdy zoczyli osła, szurującego wprost na podwórze, rzekł jeden do drugiego z uśmiechem:

— Patrz! To pierwszy osioł, który się tutaj dostał bez protekcyi!

I na tem koniec bajki, a sens z niej taki, że się kicha bez tabaki, bo, po pierwsze, tabaka droga, a po drugie, brak jej zupełny.

Wszystko to jednak, razem wzięte, niczem jest w porównaniu (pomyśli kto może „z kiszonymi ogórkami"...) z wojną, jaką na śmierć i życie prowadzą ze sobą krakowscy fabrykanci tutek cygaretowych na łamach naszych pism codziennych. Wynaleźli sobie bezpieczne odcinki, nazywające się „Nadesłane" i prażą się stamtąd wzajemnie, niczem z karabinów maszynowych. — Zaciętość, z jaką toczą walkę, nie jest wcale mniejszą od owej, jaką możemy spostrzedz na wszystkich frontach europejskich, a podkład i tu i tam jednakowy, zagrożony interes i obawa przed konkurencyą. Wchodzą tu także w grę i państwa neutralne. W danym wypadku są niemi administracye dzienników, mające wcale piękny profit z tego bibulasto-tutkowego zmagania się przeciwników.

W ostatniej chwili, gdym miał już schować miecz do pochwy, a pióro kronikarskie do szuflady, dowiaduję się z niemałym strachem, iż pan Roosevelt, były prezydent Stanów Zjednoczonych, uzbraja na gwałt swój legion i wybiera się z nim do Europy. Niech z drugiej strony wpadną sufrażystki nowojorskie, może być z nami źle, albo nawet jeszcze gorzej!... — Dwa te czynniki muszą wpłynąć stanowczo na poprawę szans koalicyi!

Niech się zresztą stanie, co się ma stać, byle wojna raz się już skończyła!

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył W. Łucyna, Rożniatów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kreski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

O—a
l—n
t—n
o—a
o—o
k—j
l—n
E—a
l—s
o—h
ł—a

Łamigłówka literacka.

Ułożył E. Winter, Tarnow.

Podane litery w ten sposób poprzestawiać, aby utworzyły nazwiska czterech polskich pisarzy.

a	a	a	a	ą	c	c	i
i	i	i	j	k	k	k	k
k	k	ł	ł	ł	n	o	o
o	r	r	s	s	s	t	w

Trójkąt magiczny.

Ułożył P., Lubaczow.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko polskiej bohaterki z czasów powstania.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2 Zdrobniałe imię żeńskie. 3 Uroczyste oświetlenie. 4. Prowincya włoska. 5 Rosyjski polityk i dyplomata. 6. Bogini łowów. 7. Rodzaj pieczywa, 8. Powieść Prusa. 9. Instrument muzyczny. 10. Inaczej żubr. 11. Wykrzyknik. 12 Spółgłoska.

Okienko.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	e	e	e	e
f			g			g
g			g			i
i	i	i	l	l	m	m
n			n			n
n			o			o
o	o	r	r	t	t	z

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Grecyi. 2 Miasto w Niemczech 3. Miasto w Górnej Austryi.

Zgłoskówka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów o pewnem znaczeniu Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego wodza końcowe zaś, czytane z dołu do góry, okoliczność, która stała się przyczyną jego śmierci.

a. ar, cha. czy, do, dy. dy, ek, fa, form. giń, i, ja. jans, jo, ka, ki, kra, le, lek, lesz, łv, ne, nie, no, o, o, od, po pol, ryd, rząb, sier. siń, ski, ski, skop, sław, te, top, tek, wła, za, żant.

Znaczenie wyrazów: 1. Środek, używany przy leczeniu ran. 2 Jedna z funkcyi życiowych. 3. Miasto w Galicyi wschodniej. 4. Człowiek bez własnego zdania. 5 Rodzaj gliny. 6 Powieść Sienkiewicza 7 Hetman litewski. 8. Miasto we Włoszech 9 Pierwiastek. 10 Rzeka we Włoszech 11. Przyrząd astronomiczny. 12 Miasto na Wołyniu 13 Imię męskie. 14. Stopień wojskowy. 15. Poeta polski. 16. Drzewo liściaste.

Logogryf.

Ułożył W. Łucyna, Rożniatów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego poety.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów 1. Miasto w Rosyi. 2 Inaczej złudzenie. 3 Mityczni olbrzymi. 4. Broń palna 5. Inaczej atrament 6. Popis. 7. Ogród. 8. Wtargnięcie. 9. Imię męskie. 10. Przyrząd do mierzenia czasu.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Boh, dziewczę, sąd, sos, pozy.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

JAN ADYSZACH.

ERNEST EM. I. KIBITZ.

EWA I. I. P. ŚCIPOROSKA.

EWARYST B Z. LOZAK.

ANTONI RYZY SARĄCH.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Przysłowiówka: Za nic dowód i wymowa, trzos ważniejszy, niźli słowa.

Logogryf:

			T			
		B	a	r		
	O	r	d	o	n	
		l	e	w		
			u			
		o	s	a		
	p	o	z	e	w	
	T	o	k	i	o	
m	o	n	o	p	o	l
	B	a	ś	k	a	
	W	a	c	i	o	
		N	i	l		
			u			
		a	s	y		
	N	i	z	z	a	
		o	k	o		
			o			

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Okienko:

M	a	g	a	z	y	n
a			k			a
g			s			s
a	k	s	a	m	i	t
z			m			r
y			i			ó
n	a	s	t	r	ó	j

Grzebieniówka:

M	i	k	o	ł	a	j	K	o	t	o	w	i	c	z
a		u		o		e		k		r		n		e
z		r		m		r		r		z		f		n
u		o		i		o		e		e		o		d
r		p		k		z		s		z		r		a
o		a		o		a		l		z		m		w
n		t		m		l		e		k		a		e
i		k		i		i		n		o		c		s
c		i		e		m		i		w		y		t
z		n		ń		a		e		a		a		a

Równanie:
Aldona + **Chiny** + **Moniuszko** + Makarewicz = **Alchimowicz.**
Zwłoka + **Zimorodek** + Ciepłomierz = **Kazimierz.**

Zadanie do przestawienia: Ni pies, ni wydra, coś nakształt świdra.

Bilety wizytowe: Groom. Frenolog. Dziegciarz. Kredencarz. Leśniczy kameralny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków. J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S Grodzicki Praga. S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M Wiśniewska Lwów S Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń, L. Kozubski Wiedeń, Marya Oleksiukowa Wygoda ad Dolina.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Winter, Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu, Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego